MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 5 | WARSZAWA, 28 STYCZNIA 1934 R. | CENA NUMERU 80 GR.

NASZA POSTAWA WOBEC RUSINÓW

NIE wszyscy w Polsce, — a zwłaszcza w zaangażowanej tu bezpośrednio, i w związku z tem mającej silniejszą inercję w dawniejszem łożysku myślenia i działania Małopolsce, — zdają sobie sprawę z gruntowności przemiany, jaka zaszła w położeniu sprawy ruskiej na ziemiach polskich dzięki odbudowaniu państwa polskiego.

Przed wojną zmaganie narodowe polsko-ruskie zamykało się w granicach tworzącej część państwa austrjackiego Galicji. Oba obozy,—polski i ruski,— stanowiły równorzędne podmioty polityczne. Prowadziły one z sobą walkę w równych warunkach,— przyczem arbitrem był Wiedeń. Przyszłość ruchu ruskiego zarysowywała się pomyślnie: w ustroju państwa narodowościowego, jakiem była Austrja, istniała możliwość łatwego osiągnięcia celu, mogącego czynić zadość dość daleko idącym aspiracjom narodowym Rusinów, — mianowicie możliwość zdobycia sobie autonomji krajowej (w połączonej Wschodniej Galicji i Bukowinie). Aby cel ten osiągnąć, wystarczało, żeby Rusini pomnożyli swe siły polityczne w kraju (co się dokonywało drogą organicznego, stałego rozwoju), oraz aby posiadali przychylność korony (ta była — z uwagi na całokształt polityki austrjackiej i stojącej za jej plecami polityki niemieckiej — zapewniona). Podział Galicji i oddanie jej wschodniej części Rusinom, były perspektywą realną, a nawet prawie nieuniknioną. W zmaganiu się obu obozów politycznych, — polskiego i ruskiego, — obóz ruski, mimo pozorów chwilowego upośledzenia, był stroną silniejszą, idącą zwycięsko i zdobywczo naprzód, — atakującą pozycje polskie z nadzieją na łatwe (przy pomocy Austrji) niemi zawładnięcie. Stąd postawa obronna strony polskiej — i obronna, defensywna taktyka i psychologja miejscowego społeczeństwa polskiego.

Zupełnie inne jest położenie obecne. Inny jest stosunek sił: mało zmienionym siłom politycznym ruskim (przyrost Wołynia i t. d. kompensuje się do pewnego stopnia odpadnięciem Bukowiny) przeciwstawiają się siły polskie, nietylko pomnożone przez zjednoczenie trzech dzielnic, ale wyposażone w olbrzymi czynnik potęgi politycznej, jakim jest własne państwo. Odmienna budowa Rzplitej polskiej, która nie jest państwem narodowościowem, ale narodowem (co nie znalazło jeszcze w całej pełni wyrazu w ustroju, polityce administracyjnej i t. d., — lecz co z biegiem czasu, z koniecznością nieodpartą ten wyraz sobie znaleść musi),— odmienna, powtarzam, budowa polityczna Polski w porównaniu do Austrji, sprawia, że obóz ruski nie ma w Polsce tej swobody uruchomienia i zużytkowania wszystkich swych sił politycznych, którą miał w dawnej Galicji. Ten stan rzeczy sprawia, że oba obozy nie stoją już dziś wobec siebie jako dwa równorzędne podmioty polityki — ale jako jej podmiot i przedmiot[1]).

Zniknął również wiedeński arbiter. Sprawa ruska przestała być sprawą, której rozwiązanie możliwe jest środkami, używanemi w rozgrywkach politycznych wewnętrzno-państwowych (rozwojem akcji narodowej, zwycięstwami wyborczemi, polityką w parlamencie, zabiegami u dworu). Sprawa ruska, jeśli wogóle ma być „sprawą“, musi być zdolna do ostania się w grze sił polityki międzynarodowej. Musi sama jedna stanąć oko w oko z trudnościami, stwarzanemi przez układ stosunków międzynarodowych, a nawet poprostu przez samą geografję — i umieć trudnościom tym sprostać.

---

[1]) Nie przeczę wprawdzie bynajmniej, że i Rusini są w pewnym stopniu podmiotem politycznym: mają własną wolę, — mają też i środki (ograniczone może, ale rzeczywiste) wprowadzania swojej woli w czyn. Chodzi mi tylko o zestawienie porównawcze. Podmiotowość Polski i obozu ruskiego („ukraińskiego“) jest tak niewspółmierna, — zdolność obu stron do czynnego przejawiania własnej, niezależnej woli tak nierównomierna, że obie te strony, w praktyce i w większości wypadków, występują wobec siebie jako podmiot i przedmiot. I to ustosunkowanie wzajemne będzie mieć z biegiem czasu tendencję do utrwalania się i uwypuklania.

Łatwo można było wyobrazić sobie ruski „kraj“ w obrębie monarchji rakuskiej, — chroniony przez austrjackie bagnety, austrjackie barjery celne, austrjacką politykę zagraniczną. Ale taki sam kraj, zamieniony na niepodległe „państwo“, — zdany na własne siły? Wystarczy rzucić okiem na mapę, by się przekonać, że niepodległe państwo ruskie, na ziemiach wchodzących dziś w skład Rzplitej, jest geograficznem niepodobieństwem. Nie może istnieć państwo geopolitycznie tak dalece niewyodrębnione, nie tworzące zamkniętej w sobie całości, niesamostarczalne gospodarczo, nie bronione granicami naturalnemi.

Punkt ciężkości „sprawy“ ruskiej leży więc dzisiaj na Ukrainie naddnieprzańskiej. Tylko tam istnieją naturalne, geograficzne warunki dla niepodległego państwa ruskiego. I tylko w oparciu o państwo naddnieprzańskie możliwa jest emancypacja polityczno - państwowa Rusinów polskich. A nie potrzeba długo wyjaśniać, jak dalece nieprawdopodobna jest niepodległość Ukrainy naddnieprzańskiej.

Aby jakiś kraj mógł zdobyć sobie niepodległość, potrzeba jest dwu rzeczy: aby warunki zewnętrzne na to pozwoliły — oraz aby on sam okazał wolę skorzystania z tych warunków. O dogodne warunki zewnętrzne jest na Ukrainie bardzo trudno, zważywszy, że posiadanie Ukrainy leży w żywotnym interesie rosyjskim, i że Rosja będzie walczyć aż do ostatniego tchu, nim ją sobie z samych trzewi pozwoli wydrzeć. Ukraina naddnieprzańska nie mogłaby być państewkiem buforowem, jakie rodzi się, jako produkt uboczny, ze zmagań innych państw. Z samej natury swego położenia musiałaby być państwem dużem. A wiemy na przykładzie zjednoczenia Włoch, zjednoczenia Niemiec, odbudowania Polski, na ile nieprzezwyciężonych niemal trudności natury politycznej natrafia budowa dużego państwa wówczas nawet, gdy jest ona celem dążeń w całej pełni dojrzałego i świadomego siebie narodu.

No, a wola niepodległości Rusinów naddnieprzańskich? — Najbardziej nawet zaślepiony patrjota „ukraiński“ nie zaprzeczy, że jako fakt polityczny ona nie istnieje.

Gdzież ona była przed wojną? Gdzież byli „Ukraińcy“ na Ukrainie choćby w roku 1914? — W Warszawie, w Wilnie, nawet w czasach największego ucisku czuło się, że się jest w Polsce. Bo największy nawet ucisk nie jest zdolny zmienić narodowego oblicza kraju. Na Ukrainie — nie czuło się „Ukrainy“ nawet w dni rosyjskiej rewolucji.

Najlepszym dowodem braku woli niepodległości na Ukrainie jest przebieg lat 1917 — 1920. Istniała wówczas konjunktura dla wywalczenia sobie niepodległości przez Ukrainę—poprostu wyjątkowa. Rosja nietylko była powalona, bezsilna, rozdarta wojną domową, ale ni mniej, ni więcej, tylko przestała być sobą. Na miejscu umierającej Rosji, rodził się twór nowy: programowo beznarodowe i nie mające jeszcze wyraźnej koncepcji swego przyszłego ukształtowania geograficznego, państwo Sowietów. Jeżeli kiedykolwiek istniała konjunktura dla wyodrębnienia się Ukrainy—to właśnie przedewszystkiem wtedy. Tembardziej, że dążenia niepodległościowe ukraińskie znalazły możnych protektorów, nietylko politycznych, ale i wojskowych, w Niemcach, którzy obsadzili Ukrainę swojem wojskiem, a nawet—przejściowo (w r. 1920) w działającej tu, wbrew wyraźnemu swemu interesowi, Polsce. I mimo to—niepodległość ukraińska nie okazała ani śladu żywotności. Gdy wycofywały się obce wojska okupacyjne, — „Ukraina“ rozsypywała się jak domek z kart.

A jeśli nawet jakiś ruch narodowy zaczął na Ukrainie kiełkować, to późniejsze, kilkunastoletnie rządy bolszewickie zdołały go skutecznie wyniszczyć.

Mając takie warunki za podstawę — niełatwo jest osiągnąć cel budowy niepodległej Ukrainy. A ten właśnie cel — jest jedynym celem, do którego narodowcy ruscy mogą dążyć. Bo cel „kraju“ ruskiego w obrębie Austro-Węgier rozwiał się jak mgła z chwilą upadku monarchji Habsburgów. A cel państwa „zachodnio-ukraińskiego“, — takiego, jak to, które próbowało powstać w latach 1918 — 1919, — jest wogóle nierealny.

Mając taki ogrom trudności do pokonania, — trudności, do których niewiadomo nawet, jak się zabrać, bo jakże tu np. wpłynąć na rozwój nastrojów za sowieckim kordonem? — myślące jednostki śród polskich Rusinów muszą nieraz ulegać zwątpieniu, a nawet rozpaczy.

Mają wprawdzie jedną deskę ratunku: jest nią nadzieja na Berlin. Berlin, — zwłaszcza dzisiejszy, hitlerowski, — jest szczerze w Ukrainę zapatrzony. Jeśli mogły wojska niemieckie być w Kijowie w roku 1918, to dlaczego nie mogłyby tam pójść raz jeszcze? I dlaczego nie miałby się powtórzyć traktat brzeski?

Rozumowanie to nie jest nielogiczne. Niemcy dzisiejsze istotnie włączyły program ukraiński do swych rachub. — Ale są to rachuby zawodne. Bo historja nie łatwo się powtarza. Aby ten fakt uzmysłowić — wystarczy przypomnieć, jak dalece zawodne były długoletnie polskie rachuby na powtórzenie się lat 1807 — 1812, gdy Francuzi byli w Warszawie, a nawet w Moskwie. Nie jest to wprawdzie analogja całkiem ścisła: polskie rachuby dziewiętnastowieczne niesłusznie liczyły na powtórzenie się przypadkowego, napoleońskiego konfliktu francusko-rosyjskiego (odbudowanie Polski stało się, wręcz przeciwnie, możliwe dopiero jako skutek francusko-rosyjskiego sojuszu), — podczas gdy całe nastawienie dzisiejszego przynajmniej kierunku, rządzącego w Berlinie, to jest istotnie nastawienie na rozbiór Rosji. Ale porównanie to wyjaśnia przynajmniej w ogólnym zarysie, na jak dalece niepewnej podstawie oparte są ruskie nadzieje narodowe.

Sprawa ruska stoi dziś na martwym punkcie. Ruszenie jej kiedyś z tego martwego punktu jest wprawdzie teoretycznie możliwe, — ale jest bardzo mało prawdopodobne. Rusini polscy niczem, dosłownie niczem nie mogą się do ruszenia z miejsca tej sprawy przyczynić. Mogą tylko czekać zmiłowania Bożego — i mieć nadzieję, że może w przyszłości siły zewnętrzne i całkowicie od ich woli niezależne kiedyś sprawę ich z tej złej pozycji zepchną.

A jeżeli bieg spraw na *forum* polityki międzynarodowej pójdzie innym torem? I jeżeli w dodatku Sowiety zdołają ledwo wzeszły posiew idei „ukraińskiej“ do reszty nad Dnieprem wyniszczyć? Co wtedy? — Ruś Halicka zawiśnie wtedy całkowicie w próżni.

Powiedziałem już — zdaje się — dość, by wyjaśnić, że zupełnie niema podobieństwa między położeniem sprawy ruskiej na ziemiach polskich przed wojną, a dzisiaj. Wówczas sprawa ruska szła zwy-

cięsko naprzód — i miała przed sobą cele, mogące czynić zadość dość daleko idącym aspiracjom, a łatwo osiągalne. Miała zresztą przed sobą miraż eksperymentu brzeskiego, co do którego można było się łudzić, że się uda pomyślnie.

Dzisiaj—wszystko wskazuje na to, że sprawa ruska zmierza do zupełnej likwidacji. A w najlepszym razie—jej wznowienie na *forum* realnej polityki odwleczone jest do nie dającego się przewidzieć momentu, którego nadejście jest od woli Rusinów i od intensywności akcji narodowej ruskiej całkowicie niezależne.

Stąd zmiana we wzajemnem ustosunkowaniu polsko-ruskiem. Rusini byli przed wojną żywiołem, idącym zwycięsko naprzód, — odbierającym nam, a przynajmniej mającym nadzieję nam odebrać, pozycję za pozycją.

Dzisiaj są oni w całej pełni w odwrocie. Ich program narodowy załamał się. Przyszłość ich maluje się w kolorach ciemnych. Zwątpienie, jeśli się nawet w ich szeregi nie wdarło, to wkrótce wdzierać się zacznie.

Jeszcze wprawdzie działa inercja przedwojennego rozmachu rozwojowego. Na rozmaitych polach życia ruskiego widać nawet postępy, jakich przed wojną nie było. W rozwoju polityczno-organizacyjnym, spółdzielczym, oświatowym,—w rozwoju uświadomienia narodowego w masach ruskich i t. d., niejednokrotnie widoczny jest znaczny postęp, a fałszywa postawa władz polskich jeszcze wyraźniej ten pozorny rozwój uwypukla. To też śród ludności polskiej w naszych województwach południowo-wschodnich słyszy się nieraz słowa jaskrawego pessymizmu — i obawy, że postępowi sprawy ruskiej nie zdoła się już postawić tamy.

W istocie — są to tylko złudzenia. Dzisiejsze zdobycze narodowe — to sukcesy drugorzędne, które na całokształt sprawy ruskiej nie mają wpływu. O ile przed wojną każda nowa szkoła ruska, każdy nowy tysiąc głosów w wyborach, każda nowa spółdzielnia posuwała naprzód sprawę ruską w Austrji, — o tyle dzisiaj znacznie nawet większe dzieła akcji narodowej ruskiej w Polsce w żadnym niemal przyczynowym związku z rozwojem sprawy ruskiej, jako całości, nie stoją, i co najwyżej umożliwiają tylko wytrwalsze czekanie.Sprawa ruska, jako całość, nie jest dzisiaj wogóle żadną sprawą. Tak samo bywa w bitwie: patrole mogą odnosić nawet świetne lokalne zwycięstwa, albo wywiązywać się z zadań ubezpieczających, — ale gdy główny korpus armji został pokonany, w pewnej chwili będą musiały wycofać się z akcji.

To nowe położenie, — nie przez wszystkich jeszcze rozumiane, — nakazuje nam nową wobec Rusinów postawę.

Niema już powodów do postawy wyłącznie obronnej,—w której chodzi tylko o ustrzeżenie się przed ciągłem uszczuplaniem naszego stanu posiadania na rzecz przeciwnika.

Możemy natomiast — i powinniśmy — przyjąć wobec sprawy ruskiej postawę ofensywną. W interesie naszym leży likwidacja sprawy ruskiej — i ta likwidacja powinna być głównym celem naszej wobec Rusinów polityki.

Uznajemy odrębność szczepową Rusinów, — tak jak uznajemy odrębność szczepową Kaszubów, Podhalan, Ślązaków czy Kurpiów. Ale nie możemy uznawać ich odrębności polityczno-narodowej. Godziliśmy się z istnieniem „ukrainizmu“ jako z faktem dopóty, dopóki faktu tego nie mogliśmy zmienić.

Ale dzisiaj postawienie sobie przez nas za cel likwidacji „ukrainizmu“ jest możliwe, bo sama natura stosunków do tej likwidacji zmierza i tylko przypadek może jej przeszkodzić. To też likwidację tę—i jej przyśpieszenie—za cel sobie postawić musimy.

Nasza postawa wobec Rusinów — to nie jest postawa obrony naszych dóbr przed Rusinami. To jest postawa walki o to, by Rusini zmienili swe polityczne oblicze.

Dążymy więc—oto konkluzja—do niekoniecznie wprawdzie językowej,—ale w każdym razie politycznej, oraz kulturalnej, a więc narodowej asymilacji Rusinów.

JĘDRZEJ GIERTYCH

UWAGI O PROGRAMIE GOSPODARCZYM. — III.

PRAWO WŁASNOŚCI

W PIERWSZYM z cyklu artykułów pod tytułem „Uwagi o programie gospodarczym“ powiedziałem, że zasada prywatnej własności musi być podstawą naszej ideologji gospodarczej. Zasada prywatnej własności, tak jak ją pojmuje Kościół Katolicki. Każdy człowiek ma prawo do posiadania tego, co zdobył własną pracą, lub tego, co pracą zdobyli jego przodkowie. W tem rozumieniu prawo własności jest pewnym postulatem moralnym, który stara się zrealizować w praktyce istniejący porządek prawny.

Jest rzeczą oczywistą, że nie urzeczywistnia go w sposób doskonały. Dzieje się to zarówno wskutek obchodzenia prawa i naruszania jego przepisów, jak również wskutek tego, że nawet najściślejsze przestrzeganie prawa nie jest jeszcze gwarancją postępowania w sposób zgodny z moralnością.

Stąd od powstania porządku prawnego zdarzają się reformy radykalne, zmieniające gruntownie istniejące stosunki własności. Przypomnijmy tu tylko słynną sejsachteję Solona, która skreśliła wszelkie długi. Niewątpliwie każda taka reforma połączona jest z krzywdą wielu właścicieli. Zachodzi jednak pytanie, czy stan rzeczy przed reformą był bardziej zgodny z naturalnem prawem własności, t. j. z postulatem, by każdy miał to, co własną pracą zarobił lub po przodkach odziedziczył.

Mojem zdaniem, pomieszanie prawa własności jako postulatu etyki chrześcijańskiej, z prawem własności, określanem przez obowiązujące przepisy prawne, jest źródłem wielu nieporozumień. Jestem zdania, że obecnie prawo w szczupłym tylko zakresie urzeczywistnia postulat moralny „prawa własności”. Nie chcąc się powtarzać, nie będę przypominał, dlaczego uważam zarówno kartele, jak i holdingi przemysłowe za organizacje w sa-

mem założeniu nieuczciwe[1]). Mam wrażenie, że w obecnych stosunkach żadne represje przeciwko monopolom prywatnym nie byłyby w stanie ich rozbić. Dlatego też, otwarcie powiedziawszy, nie jestem zasadniczym przeciwnikiem upaństwowienia niektórych gałęzi przemysłu. Upaństwowienie to może być dokonane za należytym odszkodowaniem. To już jest sprawa inna, wiążąca się z zagadnieniami bilansu płatniczego, którą zamierzam rozważyć w dalszych artykułach.

Argumenty moralne nie mogą być, mojem zdaniem, wysuwane przeciwko koncepcji wywłaszczenia obcego kapitału. Wysuwa się jednak także argumenty innej natury przeciwko tym projektom.

Zdaniem większości ekonomistów, gospodarka państwa, wskutek jej nieudolności, byłaby jeszcze bardziej szkodliwa od gospodarki kapitału zagranicznego w wielkim przemyśle. Wprawdzie zagranica zabiera zysk, ale tego zysku wogóle nie byłoby, gdyby gospodarował rząd.

Rozumowanie to byłoby słuszne, gdyby istniała jakaś zasadnicza różnica między sposobem administrowania przedsiębiorstw hyperkapitalistycznych prywatnych i państwowych. W rzeczywistości i tu i tam czynnikiem kierującym są ludzie związani z przedsiębiorstwem — posadą. Że w tych warunkach przedsiębiorstwa państwowe zysku prawie nie mają, a przedsiębiorstwa zagraniczne mają go więcej, to wynika tylko z nieuczciwych ich kombinacyj na szkodę drobnego akcjonarjusza, skarbu państwa lub konsumenta. Zysk ten nie jest s t w o r z o n y, lecz zabrany innym.

Nie uważam, by pęd ku o r g a n i z o w a n i u monopoli prywatnych można było w jakiś sztuczny sposób zahamować. Zbyt łatwo takie monopole organizować, zbyt wielkie dają one zyski przy małym wysiłku.

Fatalne zachwianie równowagi między zorganizowanym wielkim przemysłem, a wyzyskiwanem rolnictwem, drobnym przemysłem, rzemiosłem it.p. nie może być usunięte na drodze zorganizowania „monopoli obronnych“, gdyż z natury rzeczy te działy życia gospodarczego nie są zdolne do tworzenia monopoli.

Obecne pomieszanie form ustrojowych przyczyniło się także do pewnego pomieszania pojęć. Może ktoś dopatrywać się sprzeczności między programem obrony małego człowieka, nawoływaniem do przywrócenia bezpośredniego stosunku właściciela do warsztatu pracy i t. d., a programem etatyzacji wielkiego przemysłu. (Mówiąc „wielki przemysł“, mam na myśli przedewszystkiem górnictwo). Uważam jednak, że tej sprzeczności niema. Tam, gdzie monopol jest, winno mieć władzę nad tym monopolem państwo. Tylko tam, gdzie monopolu niema, można mówić o prywatnej własności i prywatnej inicjatywie, o samodzielnem gospodarowaniu jednostki ku pożytkowi własnemu i ku wzmożeniu dochodu społecznego. Prywatne monopole przyczyniają się najwięcej do skrępowania „małych ludzi“ w sidłach wyzysku.

Czyż wysokie ceny węgla, żelaza, nafty i t. d., i t. d. nie hamują rozwoju drobnego przemysłu, rzemiosła i rolnictwa?

Rzecz charakterystyczna: pogodzono się z monopolami istniejącemi oddawna i mało kto domaga się np. sprzedania kolei kapitalistom prywatnym. Tymczasem ceny węgla niewiele mniejsze mają znaczenie dla życia gospodarczego, niż np. ceny przewozu kolejowego. A jednak postulat upaństwowienia górnictwa spotka się napewno z gwałtownemi sprzeciwami...

Tymczasem w obu powyższych wypadkach chodzi tylko o jedno: by monopol był administrowany z punktu widzenia dobra publicznego. Wówczas byłby administrowany w sposób korzystny dla społeczeństwa, t. j. tak, by stwarzał podnietę dla rozwoju życia gospodarczego, a nie by rozwój ten hamował.

Oczywiście przy systemie rządów bez społeczeństwa, kiedy u władzy stoi kasta biurokratyczna, niema wielkiej różnicy między gospodarką karteli i monopoli państwowych[2]).

Mówię jednak o programie gospodarczym państwa narodowego, a nie jest państwem narodowem to, w którem naród nic nie ma do gadania. Mówię także o innej atmosferze moralnej, która jest warunkiem najważniejszym wielkiego p r z e w r o t u.

Uważam, że już czas był wysunąć otwarcie program unarodowienia obcych przedsiębiorstw w Polsce. Chodzi przecież o to, by wszystko, co jest w Polsce, było naprawdę polskie.

Na odcinku wielkiego przemysłu nie widzę innej drogi, do tego celu prowadzącej, jak upaństwowienie.

WOJCIECH ZALESKI

---

[1]) Porównaj artykuł „Amoralność życia gospodarczego“ Nr. 29 „Myśli Narodowej“ z r. 1933.

[2]) Poucza nas o tem choćby ostatni proces kartelowy, na którym okazało się, że fabryka chorzowska brała udział w kartelu sprzedającym swe produkty po cenach o 135 procent wyższych od hojnie liczonych kosztów produkcji.

DO ŹRÓDEŁ NIEPODLEGŁOŚCI. — II.

FAKTY, HYPOTEZY, ZŁUDZENIA

MAJĄC sześć czy siedem lat wszedłem raz w dzień słoneczny do salonu i zauważyłem, że na białej ścianie, obok której znajdował się kandelabr z pryzmatycznemi wisiorkami szklanemi, widnieje smuga różnokolorowa, podobna do tęczy. Wiedziałem, że tapeta jest w całości biała, skąd zatem — zastanowiłem się — wzięło się na niej pasmo różnobarwne? Obserwacje przekonały mnie, iż do tego, aby owa smuga różnobarwna mogła zjawić się, niezbedne są dwa czynniki — światło słoneczne i pryzmat szklany. Podstawiając mianowicie pryzmaty (do których dobrałem się i parę z nich stłukłem) pod wpadające przez szybę światło słoneczne, „puszczałem tęczę“ na ścianę. Któż z nas nie robił, będąc dzieckiem, „odkryć“ podobnych?

Co było dla sześcio, siedmioletniego chłopca faktem? To, że ujrzał nieoczekiwanie zajawisko różnobarwne, podobne do tęczy, w miejscu, gdzie go stale nie widywał. Ale taki fakt, oparty na jednem postrzeżeniu zmysłowem, więc pierwotny i odosobniony, pozbawiony związku z innemi faktami, do niczego nie prowadził, był niezrozumiały,

nie wystarczał więc nawet dziecku, które postawiło sobie pytanie, skąd się to zjawisko wzięło, i tem samem przeszło do ponownych postrzeżeń zmysłowych, do rozważań natury umysłowej, tudzież do prób dowolnego wywoływania zjawisk podobnych. Dzięki instyktownemu zastosowaniu zasady przyczynowości, która nie jest faktem, gdyż każdy fakt jest konkretny, sześcio, siedmioletniemu dziecku powiodło się rozwinąć fakt pierwotny i ująć go troszkę dokładniej — zjawisko różnobarwne na drodze ponawianych postrzeżeń zmysłowych i rozważań ujawniło swój związek, swoją zależność od światła słonecznego oraz pryzmatu szklanego.

Dla sześcio, siedmioletniego chłopca było to „odkrycie“, można było bowiem równie dobrze ustalić fakt w ten sposób, że „wróżka, przechodząc przez pokój, robi różnokolorowy znak na ścianie“. Ale gdyby umysłom twórczym takie ogólnikowe ustalenia wystarczały, to zatrzymywałyby się zawsze na progu świątyni wiedzy. Przejść przez próg znaczyło — wykryć ścisłe stosunki zależności, tem samem ustalić naturę faktu. Tego zrobić, oczywiście, nie umiałem. Dopiero gdy byłem starszy, dowiedziałem się, że już, blisko przed trzema wiekami, Sir Isaac Newton wyszedł z identycznego postrzeżenia zmysłowego, lecz umiejąc zastosować drogę ścisłych obserwacyj (eksperymentu), wykrył, czyli ustalił fakt naukowy, iż światło słoneczne, przechodząc przez pryzmat szklany, ulega załamaniu i rozszczepieniu na szereg różnobarwnych smug (t. zw. widmo słoneczne).

Newton przkształcał doświadczenie przypadkowe, to zwężał, to rozszerzał jego pole. Przedewszystkiem zastosował ciemnię optyczną, przepuszczał pasemko światła słonecznego przez mały, okrągły otwór w okiennicy; wówczas stwierdził, że zjawisko różnobarwne nie odpowiada okrągłej formie otworu, lecz posiada linie podłużne.

Zapytywał, czy grubość lub kształt pryzmatu nie mają na zjawisko wpływu — przepuszczał światło słoneczne przez różne miejsca szkła, zmieniał wielkość otworu w okiennicy, umieszczał pryzmat zewnątrz zamiast wewnątrz, zjawisko pozostawało bez zmiany.

Newton stawiał pytanie, czy jakieś nieregularności w strukturze pryzmatu nie powodują zjawiska. Umieścił tedy z tyłu za pierwszym pryzmatem drugi, całkowicie doń podobny, ale w położeniu odwrotnem. Przypuszczał bowiem, iż regularne oddziaływania obu pryzmatów zniosą się nawzajem, natomiast nieregularne oddziaływania nie zniosłyby się nawzajem, mogłyby nawet wystąpić jeszcze silniej. Ta próba syntetyczna doprowadziła do białej barwy o kształcie okrągłym, zbliżonym do otworu w okiennicy, w ten sposób istnienie nieregularnych oddziaływań pryzmatu zostało wykluczone, istnienie regularnych oddziaływań stwierdzone.

Newton zrobił przypuszczenie, iż promienie, wychodzące z różnych punktów tarczy słonecznej, wpadają może pod różnemi kątami do pryzmatu i przez to ulegają w różnym stopniu załamaniu. Mierzył tedy wchodzące w grę linje i kąty: okazało się, że szerokość obrazu pryzmatycznego odpowiada pozornej średnicy tarczy, długość natomiast jest przeszło pięciokrotnie większa. Ponadto okazało się, że nieznaczne zmiany nachylenia pryzmatu powodują również nieznaczne przesunięcia obrazu pryzmatycznego. Wykluczył w ten sposób oddziaływanie różnego nachylenia wpadających promieni.

Newton postanowił sprawdzić jeszcze przypuszczenie: czy wpadające do pryzmatu promienie nie przenoszą się dalej, opisując linje krzywe wskutek jakiegoś połączenia ruchu postępowego i obrotowego. Mierzył więc kształt obrazu pryzmatycznego w różnych odległościach od pryzmatu, okazało się, że wszystkie załamane promienie przenoszą się w sposób prostolinijny.

Pozostało założenie, że światło słoneczne zostaje rozszczepione na promienie o różnym stopniu załamania i że te różnie załamane promienie są jednocześnie różnego koloru. Przystępując do sprawdzenia tego przypuszczenia, Newton chwytał obraz pryzmatyczny na ekran, w którym znajdował się mały otwór, przez ten otwór mogła przechodzić tylko nieznaczna cząstka załamanego światła. Z tyłu za otworem znajdował się drugi pryzmat, w którym wpadający promień ulegał znowu załamaniu. Jeżeli przesunięto ekran w ten sposób, iż kierowano kolejno poszczególne promienie barwne do drugiego pryzmatu, okazywało się, że ulegały one załamaniu w różnym stopniu — barwa czerwona najsłabiej, barwa fioletowa najsilniej. Newton nazwał słusznie te doświadczenia *experimentum crucis*. Istotnie, po wykluczeniu innych możliwości, stwierdził Newton niezbicie, iż światło słoneczne białe (bezbarwne) zawiera promienie różnej barwy i łamliwości. (Posługiwałem się streszczeniem, podanem przez W. Wundt'a: „*Logik*“, 375 i n., Stuttgart, 1907).

Ustalenia powyższe zamknęły badania wstępne.

A teraz postaram się wyjaśnić, w jakim celu zabłądziłem do optyki. Istnieją umysły zagwożdżone wiarą w fakty. Zasady, podstawy, założenia, przypuszczenia, rozważania, porównania — wszystko to uważają ci pozytywiści za ględzenie, o fakty chodzi. Takie hasła trafiają do przekonania umysłów niedojrzałych, nawpół barbarzyńskich, albowiem poniżając to, czego przeważnie nie są w stanie zrozumieć, schlebiają ich próżności. Niema tak nieznacznego faktu, któryby wolno było ignorować. Na to zgoda, jakkolwiek w poprzednim artykule wskazałem, że zdarza się i przyrodnikom uśmiercać fakty. Czy jednak fakty są wszystkiem, czy wiedza, nawet t. zw. ścisła, zamyka, się w obrębie faktów jedynie?

Otóż na przykładzie jednego z największych przyrodników wszystkich czasów chciałem okazać, że osiągał on właśnie wielkie pozytywne wyniki dlatego, ponieważ nie ograniczał się do prostego postrzeżenia zmysłowego, w którego treści odnajdujemy fakt pierwotny, lecz ponawiał wielokrotnie postrzeżenia zmysłowe, ściągające się do tego samego zjawiska, brał pod uwagę i rozpatrywał okoliczności towarzyszące, zastanawiał się nad różnemi możliwościami przebiegu faktu, wyprowadzał z tych rozważań w drodze rozumowej szereg przypuszczeń, poddawał te przypuszczenia, jedno za drugiem, próbie doświadczenia, wywołując raz po raz to samo zjawisko, lecz zmieniając kolejności towarzyszące, aby doświadczenie rozstrzygnęło, których czynników nieobecność nie ma znaczenia dla powstania zjawiska, a których czynników wykluczenie wyłącza samo zjawisko, słowem, które należy ocenić jako nieistotne, które zaś uznać za istotne. Zatem u Newtona faktowi towarzyszą jak cień hypoteza i eksperyment, które nie są nam dane w postrzeżeniu zmysłowem, nie są faktami, lecz

są konstrukcjami myślowemi, pomagającemi w sposób mozolny, ale niezawodny, ustalić związek przyczynowy, naturę faktu.

Można tedy mówić o rozwoju faktu. Treść odosobnionego postrzeżenia zmysłowego podaje nam tylko cząstkę faktu, fakt się rozrasta, uzupełnia dzięki wielu postrzeżeniom zmysłowym, dzięki hypotezom, tryskającym z wyobraźni twórczej, wiążącym fakty, dzięki chwytom eksperymentalnym, zastosowanym do kontrolowania wiarogodności hypotez. Utożsamianie faktu z treścią postrzeżenia zmysłowego jest złudzeniem. Nawet nieskończona ilość samych postrzeżeń zmysłowych nie zdoła ustalić faktu.

Historja wielkich odkryć naukowych poucza nas o tem na każdym kroku. Zasada inercji, wysunięta przez Galileusza jako podstawa mechaniki, jest między innemi sformułowaniem pewnego założenia, które wydaje się wprost zaprzeczeniem prawdziwości postrzeżenia zmysłowego. To, że masa w stanie spoczynku wymaga siły zaaplikowanej z zewnątrz, aby przejść w stan ruchu, nie natrafia na sprzeciw naiwnego doświadczenia. Ale ścisły odpowiednik tego zdania, że momentalne pchnięcie wprawia masę w stan ruchu o trwaniu nieograniczonem i jednolitej szybkości, obraża naiwnie doświadczenie. Postrzeżenie zmysłowe poucza nas jedynie, że ciało fizyczne pchnięte porusza się jeszcze czas jakiś, jakkolwiek pchnięcie już ustało. A zdaje się nas informować również, iż wszelki ruch słabnie i ustaje sam przez się. Stąd dzieci i ludzie pierwotni, nie mogąc nawet w części dorównać potężnej wyobraźni twórczej Galileusza, nie są zdolni zrozumieć tego zdania.

A heljocentryczna hypoteza naszego Kopernika czyż nie urąga pierwotnemu postrzeżeniu zmysłowemu? Ruchy ciał niebieskich są bezsprzecznie widome, hypoteza twierdzi, że są pozorne. Dlaczeostatecznie zwyciężyła hypoteza kopernikańska? Ponieważ potrafiła włączyć do swego układu myślowego bez sprzeczności nietylko szereg faktów przed nią znanych, lecz szereg faktów nowych.

Wszak już człowiek pierwotny, stojąc lub idąc po powierzchni oświetlonej światłem słonecznem albo księżycowem, spotkał się ze zjawiskiem swego własnego cienia. A ile trzeba czasu na to, aby ogarnąć podobieństwo tego faktu do zaćmienia słońca? Włącznie faktu do antynaturalnego, mitologicznego układu myślowego opóźniało jego ustalenie, fakt został niejako zdenaturowany, wyjęty ze swego związku naturalnego. Tymczasem tworzenie hypotez jest potrzebą umysłu ludzkiego i wiedzy, ale nie jest całkowicie dowolne, celem hypotezy jest związek faktów. Dletego Newton zastrzegał się: *hypotheses non fingo.*

Wszak już człowiek pierwotny palił ognisko. A ile trzeba było czasu na to, aby zauważyć fakt prosty i niewątpliwy, że nie samo drewno się pali, lecz drewno wraz z powietrzem, ściślej z tlenem, czerpanym z powietrza. Każde postrzeżenie zmysłowe tego samego osobnika jest za każdym razem inne, różne również są postrzeżenia zmysłowe różnych ludzi — możność zauważenia pewnych elementów i pominięcia innych elementów postrzeżenia zmysłowego z jednej strony pozwala przeinaczać doświadczenie, z drugiej strony zmusza do wprowadzenia korektur. Więc i fakty nie stoją w miejscu.

Umyślnie posługiwałem się przykładami z zakresu nauk ścisłych. Co mówią te przykłady? Ten, co nie docenia faktów, ponieważ przecenia hypotezy, i ten, co nie docenia hypotez, ponieważ przecenia fakty, łudzą się i błądzą.

Wiedza ścisła składa się z trzech dziedzin: 1) obserwacji, upostaciowanej w postrzeżeniach zmysłowych, 2) refleksji, spekulacji, upostaciowanej w wyobrażeniach i sądach, 3) weryfikacji, upostaciowanej w zabiegach eksperymentalnych, usiłujących udowodnić zgodność lub niezgodność naszych przypuszczeń z doświadczeniem.

Dopiero harmonijne połączenie faktu, hypotezy i eksperymentu może nas zachować od złudzenia.

IGNOTUS

IWAN BUNIN

(LAUREAT LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA ZA ROK 1933)

W POWIEŚCI Marka Aldanowa „Klucz" major Clarville, przydzielony do brytyjskiej ambasady w Petersburgu, opowiada jednemu ze swoich znajomych, że zanim przybył do Rosji, znał tylko trzy słowa rosyjskie: *zakuska, pogrom* i *intielligientsia* (przekąska, pogrom i inteligencja). I istotnie, pojęcie „inteligencji", jako pewnej specyficznej warstwy czy nawet kasty, i to nie tyle społecznej, co kulturalnej, jako elity, która sama jedna dźwiga na swoich barkach ciężar tworzenia i rozwijania kultury narodowej — było w opinji „inteligencyj" zachodnio-europejskich nierozerwalnie związane z Rosją. Nikt nie neguje olbrzymich zasług, położonych na polu rozwoju rosyjskiej kultury, zarówno materjalnej, jak i duchowej, przez tę właśnie warstwę, której w różnych czasach przewodziły jednostki z najróżniejszych sfer społeczeństwa. Ta „arystokracja ducha" bowiem, w sensie społeczno-klasowym, była bardzo demokratyczna: na czoło poezji rosyjskiej końca XIX i początku XX wieku, tworu typowo i wyłącznie inteligenckiego, wybijają się jednostki, z różnych warstw pochodzące: widzimy tam i ziemianina Balmonta, i syna drobnego kupca — Briusowa, Błoka, którego ojciec był profesorem uniwersytetu, Mereżkowskiego, pochodzącego ze środowiska dworskich urzędników; Gumilowa, przepojonego kultem dla cywilizacji rycerskiej syna kupieckiego, Gorkija „bosiaka", ale i „K. R." (pseudonim wielkiego księcia Konstantego Romanowa). Nawet typowe, nieodrodne dziecko wsi wielkorosyjskiej, sztandarowy poeta Rosji porewolucyjnej — Jesienin, chłop stuprocentowy, podkreślał swą łączność ze sztuką i kulturą inteligencką, burżuazyjną... Z rozczuleniem, ale i z dumą i poczuciem własnej wartości zwraca się w jednym z wierszy do ukochanych rodziców: Kochani, czy pamiętacie, jak nieraz drżeliście z trwogi, gdy syn wasz w kałużach nurzał swoje bose nogi?.. a dzisiaj syn wasz — jest największym poetą Rosji, chodzi w cylindrze i lakierkach...

Niewątpliwie inteligencja ta, tudzież inteligenckość, po pewnym czasie zaczęły okazywać objawy

degeneracji, w tym jednak właśnie czasie wybucha w Rosji rewolucja, w gruncie rzeczy przez inteligencję przez długie lata przygotowywana, właściwa atoli sprawczyni przewrotu okazuje się za słabą, w zakresie woli i autorytetu, by okiełzać rozpętane przez się żywioły. To też w przeciwieństwie do arystokracji rodowej, która z małemi wyjątkami prawie cała znalazła się na emigracji — właśnie inteligencja największe poniosła w czasie rewolucji ofiary, została zniszczona doszczętnie nieomal, zmieciona wprost jak huraganem, rozpasaniem instynktów i żelazną wolą brutalnych, fanatycznych władców nowej Rosji.

Władcy ci, po odniesionem zwycięstwie, przystąpili do budowania „nowej kultury“, ściśle związanej ze społeczno-polityczną ideologją proletarjacko-kolektywnie marxowską: za jedno z głównych swych zadań na tem polu uważali wyniszczenie wszelkich pozostałości po dawnej, burżuazyjnej, „inteligenckiej” kulturze i psychice, przeciwstawiając im „nowego człowieka“, nowe życie, nowy ustrój, nową moralność i sztukę.

Resztki inteligencji, pozostałe po burzy lat 1918 22, niejednakowy spotkał los: część—w szczególności z pośród osób, pochodzących ze zwycięskiego obecnie proletarjatu, lub z pomiędzy tych, którzy — uważając nowe warunki za mniejsze lub większe zło, uznawali jednak konieczność dokonania w Rosji gruntownych przemian — ta część nietylko pozostała w kraju, ale przystąpiła do współpracy z nowym ustrojem, opanowana mniej lub więcej dobrą wolę wyzbycia się „inteligenckości” i przeobrażenia się w „nowego człowieka nowych czasów”. Reszta—a więc ci, dla których rewolucja bolszewicka była panowaniem „wielkiego chama”, zniweczeniem kultury i ducha rosyjskiego, rozbiciem marzeń o wolności w Rosji, przekreśleniem normalnych, ludzkich, cywilizowanych warunków bytu i możliwości życia, — ci wszyscy porzucili kraj rodzinny i udali się na wygnanie, gdzie też wnet kosmopolitycznie - liberalna, przeintelektualizowana i wyrafinowana rosyjska psychika inteligencka prawie bez reszty zmienia swe oblicze na rzecz nieprzejednanej, uporczywej, fanatycznej nienawiści i negacji wszystkiego, co się dokonywa w nowej Rosji... na rzecz odwrotu ku tradycjom patrjotycznym i ortodoksyjnie — religijnym...

Emigracja ta próbuje na obczyźnie kontynuować normalny rozwój kulturalnych wartości rosyjskich w związku z tradycjami przedrewolucyjnemi, naskutek jednak zmiany psychicznego oblicza rosyjskiego inteligenta, zmienia się i oblicze inteligenckiej kultury, tworzonej na emigracji: cechuje ją nawrót ku tradycjom narodowym i prawosławnym, a zarazem nieuświadamiane wynarodowienie pod wpływem wyższych, starszych i na rodzimym gruncie tworzonych — kultur obcych, wśród których się rozwija. Jest więc kultura emigracyjna formalnie, zewnętrznie, ideologicznie i emocjonalnie znacznie bardziej narodową, niż inteligencka kultura przedrewolucyjna: w istocie zaś, naskutek braku kontaktu z rodzimym żywiołem i dostępu do żywych źródeł narodowej cywilizacji—jest o wiele mniej rosyjska, niż jej samej się to zdaje, i niż była nią kultura dawna, a w pewnej mierze — chociaż brzmi to jak paradoks — mniej, niżeli nowotworzona, antynarodowa kultura rosyjska w Sowietach, która siłą rzeczy, powstając na rodzimym gruncie, przez z rodzimego środowiska wyrosłe żywioły — nieświadomie, wbrew woli, chcąc czy nie chcąc, musi się stawać kulturą rosyjską, a nie międzynarodową...

Nieraz się zdarzało, że z jednego do drugiego obozu przechodziły różne jednostki: między innymi porzucił emigrację i wrócił do Rosji, by oddać swą sławę i talent w służbę budownictwa „nowej kultury“, Maksym Gorkij. Jego nazwisko stało się dla całego świata reprezentacyjnem, jako najwyższy, najdoskonalszy wykwit współczesnej, nowej rosyjskiej kultury artystycznej. To też i na *forum* międzynarodowem, w panteonie najzaszczytniej i najdostojniej odznaczonych na polu literatury, które to odznaczenie daje literacka nagroda Nobla — jako reprezentant literatury Rosji dzisiejszej, Rosji „żywej”, miał zasiąść Maksym Gorkij. Emigracja przeciwstawiała mu Mereżkowskiego, typowy okaz rosyjskiej przedwojennej, „inteligenckiej” psychiki i kultury artystycznej. Wbrew oczekiwaniom na wybór Mereżkowskiego lub Gorkija, zupełnie niespodzianie dla całego świata, dla Rosji, dla samej emigracji rosyjskiej — gdy postanowiono naprawić wreszcie niewybaczalny błąd niesprawiedliwego pomijania literatury rosyjskiej przy wybieraniu kandydatów do nagrody Nobla, wybrano Iwana Aleksiejewicza Bunina. Przyznano najwyższe odznaczenie literackie pisarzowi, mało znanemu w świecie i — trzeba to podkreślić stanowczo, choć rosyjska opinja emigracyjna wypiera się dziś tego — mało cenionemu i mało popularnemu wśród samych Rosjan. Dookoła faktu nagrodzenia Bunina zawrzała cała burza; emigracja jednak uderzyła w ton triumfu i ma po temu zupełnie słuszne powody, nietylko dlatego, że wbrew pragnieniom znienawidzonych przez nią bolszewików wybrany został nie Gorkij, ale właśnie emigracyjny pisarz rosyjski, — ale dlatego przedewszystkiem, że odznaczając właśnie Bunina, komitet odznaczający — mający reprezentować opinję świata — uznał wartości, tkwiące nie w rosyjskiej literaturze nowej, tworzącej się dziś, zrywającej z tradycją Rosji; — ale w literaturze dawnej, której emigracyjne piśmiennictwo jest kontynuacją... — w literaturze przedwojennej, „burżuazyjnej”, *par excellence* „inteligenckiej”.

Bunin bowiem jest jednym z najbardziej typowych okazów rosyjskiej psychiki i kultury artystycznej „inteligenckiej”, i to jej odmianą, szczególnie mile widzianą przez konserwatywnie nastrojoną emigrację: odmianą inteligenta nie rewolucjonisty, szamocącego się w poszukiwaniu prawdy, buntowniczego, rozwichrzonego i światoburczego,— ale inteligenta — ziemianina, liberała z przekonań, a konserwatysty z ducha, wielbiciela harmonji i spokoju, czciciela tradycyj artystycznych, klasyka...

W przeciwieństwie do spuścizny literackiej większości laureatów Nobla, z twórczości Bunina trudno wyróżnić jakieś na wyjątkową uwagę zasługujące dzieło, jakiś arcytwór, któryby właśnie czynił go godnym najwyższego odznaczenia literackiego. W dorobku twórczym świeżego laureata, pisarza płodnego i wielostronnego, panuje raczej równomierność wartości, i to we wszystkich uprawianych przezeń dziedzinach literatury. Zasługuje więc Bunin na uwagę i jako poeta, i jako prozaik, przedewszystkiem nowelista, i jako krytyk czy tłumacz. Pod pewnym względem na tle literatury rosyjskiej końca XIX i początku XX wieku stanowi zjawisko wyjątkowe, szczególnie jako poeta. Czerpiąca tematy przeważnie z wysubtelnienia uczuć i instynktów erotycznych, ze sztuki innych narodów, przedewszystkiem zaś z przyrody, której

piękno, czar, potęgę, a nieraz i grozę — umiał odtwarzać tak, jak rzadko który inny z poetów rosyjskich — twórczość poetycka Bunina pod względem formalnym była idealnie niemal klasyczną (nie klasycystyczną), łączyła w sobie niezwykłą, suggestywną prostotę i naturalność z rzadko spotykaną wirtuozerją.

Co więcej, Bunin, jako typowy dziedzic tradycji rosyjskiej dziewiętnastowiecznej literatury z tezą — był wielkim entuzjastą roli wychowawczej sztuki, uważał, że twórca ma prawo, a nawet obowiązek wypowiadania się w sprawach pozaartystycznych zapomocą swej twórczości, zapomocą suggestji twórczej, — co znowu było kamieniem obrazy dla głosicieli hasła „Sztuka dla sztuki“. Dzisiejszy laureat Nobla traktował młode szkoły poetyckie jako bezwartościową, rozwrzeszczaną dzieciarnię, — oni zaś, sami popularni i mający monopol nieomal na szerzenie popularności, przemilczali i zakrzykiwali twórczość Bunina, która przecież na terenie poezji stanowiła wartość niebylejaką.

Najwspanialej zabłysnął talent poetycki Bunina w przekładach z literatur obcych; w szczególności w przecudnem tłumaczeniu poematu na tle życia, przyrody i wierzeń Indjan p. t. „Pieśń Hiawathy“ północno-amerykańskiego poety Longfellow'a. W dziedzinie osiągnięć formalnych w zakresie poezji jest to chyba najwybitniejsza pozycja w twórczości Bunina. Najsilniej olśniewa suggestywne obrazowanie i rzadka nawet w słynącej ze swej muzykalności poezji rosyjskiej — melodyjność wiersza. Tłumaczył też Bunin: Byrona („Manfred“, „Kain“), Tennysona, z poetów polskich Mickiewicza i Asnyka...

Typowa „inteligenckość“ występuje u Bunina w zakresie stosunku do zagadnień natury religijnej. Rozumie się, jak każdy „szanujący się“ przedwojenny inteligent rosyjski (w przeciwieństwie do dzisiejszego emigranta) — odsunął się Bunin od dogmatów i praktyk oficjalnej cerkwi prawosławnej, — nie znaczy to jednak, by pozbawiony był uczucia religijnego; pulsuje ono w jego poezji dosyć silnie, występując najczęściej w kontakcie z przyrodą, choć daleki jest Bunin od panteizmu. Skłonność do spokoju, organiczna niezdolność do szamotania się, wybuchów, samoudręczenia, targania się w niepewności i wątpliwościach — nie pozwoliły mu stać się „bogoiskatielem“, poszukiwaczem Boga, od których roi się ówczesna literatura rosyjska, że — pomijając największych: Dostojewskiego i Tołstoja — wymienimy tu Andrejewa, Mereżkowskiego, Błoka, Sołowjowa... Ma natomiast Bunin dużo szacunku i kultu dla harmonji, ładu, autorytetu i imponującej swą niezmiennością tradycji, — to też nie zdziwią jego sympatje dla katolicyzmu, a w szczególniejszym stopniu dla Islamu, w którym widział zrealizowanie się ostateczne niezmienności, ładu, siły tradycji... Najpiękniejsze z jego drobnych utworów — to wiersze, poświęcone odtwarzaniu życia, psychiki i cywilizacji ludów śródziemnomorskich, muzułmańskich, zwracają też uwagę parafrazy ustępów ze świętych ksiąg i literatury pięknej Islamu. Jak każdy „inteligent“ rosyjski, był Bunin niezmiernie czuły i wrażliwy na estetyczną stronę religji: i tu znowu w sympatjach jego, obok katolicyzmu, a nawet nad nim górując, pierwsze miejsce zajmuje Islam ze swą oryginalną sztuką. Bunin chętnie podróżował, szczególnie silnie ciągnęło go na Bliski Wschód: zwiedza więc Akropolis, wyspy na morzu Egejskiem, Konstantynopol, Egipt, Palestynę — w podróży tej jednak wielbiciel Islamu ustępuje, musi ustąpić miejsca człowiekowi, silnie związanemu intelektualnie i uczuciowo z tradycjami naszej cywilizacji, musi go porwać urok miejsc, gdzie triumfowała ongiś kultura helleńska... musi uledz sile, która w Jerozolimie każe iść śladami męki Chrystusa, w Betlejem zaś nie potrafi oprzeć się potężnemu wzruszeniu na widok napisu „*Hic* (właśnie w tem miejscu, gdzie stoi: *hic!*) *de Maria Virgine Jesus Christus natus est*“. Wrażenia z podróży po Bliskim Wschodzie opisał w pięknej książce „Świątynia słońca“. O wiele większą sławę, niż jako poeta, zdobył Bunin jako nowelista. Utarła się nawet, niezupełnie słuszna zresztą, opinja o nim, że jest to „Turgieniew XX wieku“. W prześlicznych bowiem swoich nowelach, w których unieśmiertelnił, po mistrzowsku odtworzone, życie i psychikę inteligencji wiejskiej — w przeciwieństwie do Turgieniewa, którego „kochające człowieka serce“ przeżywało wraz z bohaterami i za nich, — jest Bunin jedynie nie tracącym ani na chwilę olimpijskiego spokoju, doskonałym, subtelnym, zimnym obserwatorem, nie pozbawionym gorzkiej nieraz i subtelnej, ale wcale omalże nie współczującej ironji. Dostrzega on dekadencję i degenerację psychiki inteligenckiej, ale nie śpieszy jej z pomocą, konstatuje fakt jedynie i zdobyć się może tylko na — ustami ojca inteligenta do syna w noweli „Na letnisku“ wypowiedziane — tego rodzaju oświadczenie:

— Milcz, bratku... Tylko wiesz co? Ty o sobie pomyśl... pomyśl i lepiej zastrzel się, jeżeli nic nie wymyślisz... Koniecznie się zastrzel, jeżeli nie potrafisz stać się niczem innem, jak ironizującą świnią...

Ale świat tej wiejskiej inteligencji — to jego własny świat, i jeżeli nie współczucie, to przynajmniej zrozumienie ma dla niego Bunin. Wypada natomiast z równowagi, ze swego olimpijskiego spokoju, gdy odtwarza życie wsi chłopskiej: uderza wtedy na alarm, widząc to życie i tych ludzi-chłopów w najczarniejszych, najstraszliwszych kolorach!.. Najgłośniejsze jego, realizmem potężnym i pessymizmem beznadziejnym tchnące utwory — to właśnie „Wieś“ i „Rozmowa w nocy“, oskarżenie chłopa rosyjskiego i warunków jego bytu... oskarżenie potwornych w swym prymitywizmie i zwierzęcości instynktów...

W roku 1906 zostaje Bunin (urodził się w 1870) członkiem Rosyjskiej Akademji w Petersburgu, w r. 1916 tworzy głośnego „Pana z San-Francisco“, oskarżenie współczesnej techniki, w r. 1924 — studjum nawpół autobiograficzne, nawpół poruszające temat b i o l o g j i miłości p. t. „Miłość Miti“. Przebywa stale we Francji lub na Riwierze, pełen nienawiści do obecnego ustroju rosyjskiego, czemu dał wyraz w szeregu swych utworów (najsilniej w wierszu na 200-lecie śmierci Piotra Wielkiego), jak również w enuncjacji, wygłoszonej zaraz po przyznaniu mu nagrody Nobla. Podeszły wiek i wyczerpanie odbijają się na jego dzisiejszej twórczości, która pod względem artystycznym znacznie ustępuje temu, co pisał przed wojną i rewolucją; dekadencja ta da się zauważyć i w ostatniem jego, nieukończonem jeszcze dziele, „Życie Arsieniewa“, które — mimo zaprzeczeń samego autora — posiada zdecydowany charakter studjum autobiograficznego, pewnego rodzaju artystycznego rachunku sumienia za całe życie.

TEODOR PARNICKI

FRYDERYK SCHILLER

MARJA STUART

(Akt I. scena 7. Rzecz dzieje się w zamku Fotheringhay, gdzie Marja była więziona).

PAULET: Pani, wyroku słuchaj w sprawie twojej
Spokojnie
MARJA: Tak jak niewinnej przystoi!
BURLEJ: Przezemnie sąd ogłasza...
MARJA: Bez wątpienia
To, coś podszepnął mu sam!
BURLEJ: Orzeczenia
Sądowe znane tu są? Jaką drogą?
MARJA: Wyroku wszyscy domyśleć się mogą,
Gdy Burlej przyszedł, aby go obwieścił!
BURLEJ: W sądzie, uznanym przez panią, czterdzieści
Zdań za skazaniem padło.
MARJA: Szczyt bezprawia
Trybunał taki, co królowę stawia
Pod sąd poddanych ościennej krainy!
Jakiebądź moje byłyby przewiny
Nie wam je sądzić! Wasz sąd, to zniewaga
Praw wszelkich. Nawet wasz kodeks wymaga,
Że pod sąd równych idą oskarżeni:
A kto z was tutaj równym mnie się mieni?
— Tylko królowie są mnie równi, panie!
BURLEJ: Sama uznałaś sąd, na odczytanie
Oskarżeń godząc się.
MARJA: Pragnęłam lordów
Moją repliką powstrzymać od mordu,
Wskazując w skardze brak wszelkiej podstawy.
Ale bezprawia uznać za sąd prawy
Nie mogłam.
BURLEJ: To są puste formalności,
Bo kto od Anglji żądał gościnności,
Przez ten fakt podpadł pod angielskie prawo.
MARJA: To zdanie, lordzie, trąci drwiną krwawą!
Sąż gośćmi Anglji ludzie uwięzieni
Przez Anglję? Chyba pan sam się rumieni!
— Dosyć. — Nie jestem poddaną Brytanji,
Ale królową Szkocji.
BURLEJ: Godność pani
Nie upoważnia, byś tu bunt szerzyła!
Niczemby wszelka sprawiedliwość była,
Gdyby żebrackiej, czy królewskiej głowy
Jednako nie mógł zgiąć wyrok sądowy.
MARJA: Nie sąd odrzucam, lecz skład osobisty
Sędziów.
BURLEJ: Dlaczego? Każdy z nich jest czysty
I ma szacunek współobywateli.
Któż podejrzenie rzucić się ośmieli
Na dostojników, co są Anglji chlubą?
Głupstwo popełniłby i podłość grubą
Taki, kto sędziom stawiałby zarzuty.
MARJA: W prawnych wybiegach jesteś ostro kuty,
Celujesz także, lordzie, w krasomówstwie.
Czyż ja, kobieta, w umysłu ubóstwie
Przeciw mistrzowi znajdę argumenty?
Gdyby zbór sędziów, — według ciebie święty, —
Na cześć istotnie taką zasługiwał,
Waga wyroku byłaby straszliwa
Nawet i dla mnie. Lecz ci wychwalani
Przez ciebie męże służkami tyranji
I rozwiązłości byli mego dziada,
Jak eunuchami sułtan, tak on władał
Pierwszemi pany w państwie. Palcem skinął,
Już wszyscy cnotę nazywali winą,
Albo naopak — cudzołóstwo cnotą.
Z dwu izb poselskich jednakowo oto
Każda przekupna i każda tchórzliwa:
Zatwierdza prawa i zaraz rozrywa,
Księżniczki wlicza pomiędzy bastrady,
Lub koronuje, nie bojąc się wzgardy,
Ni pośmiewiska u wszystkich narodów.
Czy mam wymienić członków wielkich rodów,
Co cztery razy zmieniali wyznanie,
By królom łasić się? Chcesz nazwisk, panie?
BURLEJ: Nibyto nie znasz praw Anglji, lecz zato
O jej nieszczęściach masz wiedzę bogatą.
MARJA: Lordzie podskarbi, mówmy z sobą szczerze:
Twą prawość wszyscy cenią, ja w nią wierzę,
Lecz zważ, byś Anglji służąc najgorliwiej
Sprawiedliwości wymiaru nie skrzywił.
Sędziowie wasi muszą być zawzięci
Na katoliczkę — jako dyssydenci,
Na Szkotkę — jako Anglicy. Wiadoma
Swiatu waśń między sąsiadami dwoma —
Anglją i Szkocją... Waśni kres położy
Ten, kto dwa trony złączy z woli Bożej.
BURLEJ: To Marja Stuart ma dokonać dzieła
Owej jedności?
MARJA: Jam tę myśl powzięła.
BURLEJ: W przedziwny sposób spełniasz te zamiary,
Skoro zamieszki wzniecasz i pożary
W imię przyszłego ludów zjednoczenia!
MARJA: Zanim oskarżysz, spojrzyj w głąb sumienia.
BURLEJ: Pani, stwierdzona jest przez sąd twa wina;
Prawo tutejsze brzmi: „Kto rokosz wszczyna,
Po tron sięgając jawnie, albo skrycie,
Za swe knowania winien stracić życie". —
MARJA: Umyślnie przeciw mnie ukute prawo
Ma królobójstwa pokryć zbrodnię krwawą?
BURLEJ: Wbrew temu prawu z Babingtonem spiski
Knułaś.
MARJA: Nieprawda! Gdzie macie dowody?
BURLEJ: Widziałaś w sądzie własne listy...
MARJA: Świstki,
Pisane jakąś ręką przekupioną!
BURLEJ: Babington zeznał przy śmierci, że listy
Są twoje.
MARJA: Czemuż go nie postawiono
Przedemną? Dowód intrygi nieczystej
Jest w tym pośpiechu, z jakim go zgładzono!
BURLEJ: Kurla i Naua, — przybocznych pisarzy, —
Głos o dyktando tych listów cię skarży:
Na krzyż przysięgli...
MARJA: To krzywoprzysięstwo
Służby!
BURLEJ: Twierdziłaś, że człowiek uczciwy
Ten Kurl.
MARJA: Był zacny, dopóki męczeństwo
W sądzie nie pchnęło go ku drodze krzywej.
A zresztą niech mi Kurl powtórzy w oczy
Zarzuty, jakie przeciw mnie wytoczył:
Według ustawy niedawno wydanej
Podsądny musi być skonfrontowany
Z oskarżycielem. Na honor, Paulecie
Przyznaj, że mówię prawdę!
PAULET: Tak, przyznaję,
MARJA: Trzymać się prawa tylko wtedy chcecie,
Gdy ono broń wam przeciwko mnie daje!
BURLEJ: Prócz z Babingtonem spiskowałaś pani
Z Mendozą, posłem królestwa Hiszpanji!
MARJA: Puste pogłoski!
BURLEJ: Religję państwową
Chcesz zniszczyć, obce potencje z królową
Anglji pokłócić próbujesz!
MARJA: Bynajmniej! —
Lecz gdyby nawet tak było, czyż na mnie
Choćby cień winy wskutek tego pada?
To z waszej strony bezprzykładna zdrada,
Żeście więzienie dali, miast gościny,
Mnie, pani wolnej, sąsiedniej krainy!
— Gdym się schroniła w państwie krewnej biskiej,
Zwaliła na mnie gwałty i uciski.
Zasad chrześćjańskich porządek zgwałcony
Daje mi prawo wzywać do obrony
Królów. Lecz nigdy do śmierci niczyjej
Nie naginałam praw państwa, jak żyję!
— Kto inny mistrzem jest w tym procederze...
BURLEJ: Igrasz ze śmiercią!
MARJA: Niech mi życie bierze
Siostra, niech naśle skrytobójcze noże:
— Mordować może, lecz sądzić nie może!

przełożył:
STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Scena z powieści „Bracia" — Koszty moralne „udawania" — Rozmowa z przyjacielem — Jawnie czy z pozorami — Znaczenie wychowawcze reformy — Cztery czy trzydzieści miljonów?

W POWIEŚCI Władysława Jana Grabskiego „Bracia" [1]) — której autor stawił sobie ambitne zadanie ukazania przeżyć, wiary i zwątpień młodego pokolenia polskiego z pierwszych lat po odbudowaniu państwa — znalazł się charakterystyczny epizod. Oto do studenta Jacka Nowickiego zwrócili się koledzy, pracujący wespół z nim w zarządzie „Bratniej Pomocy" uniwersyteckiej, zachęcając go, by zapisał się do politycznej organizacji narodowej. Jacek odmówił, utrzymując, że i ze stanowiskiem lewicy zgadza się w wielu sprawach:

„Ironizowano:

— No, przecież chyba żydów nie chcesz wpuścić do Bratniaka?

— A wy wierzycie, że lewica chce? Udają politycznie, a głosują tylko wtedy, gdy są pewni że zostaną przegłosowani..."

Ktokolwiek w latach tych (1921—1926) studjował na wyższych uczelniach w Polsce, przyznać musi, iż spostrzeżenie to odpowiada rzeczywistości. Grabski okazał się tu obserwatorem bystrym i przenikliwym. Warto wszakże zadumać się nad kwestją inną: jak jest możliwe, iż takie postawienie sprawy uważało się za rzecz najzupełniej normalną, zrozumiałą, że dla Jacka Nowickiego przedewszystkiem, a bodaj nawet dla samego powieściopisarza, stwierdzenie takie wydawało się nieomal... usprawiedliwieniem?

Zastanówmy się przez chwilę, dokąd to wiedzie. Jak wygląda ta młodzież „ideowa", która „udaje", gotowa rzucić głosy swe za pewnem rozstrzygnięciem, jednocześnie uważając za pomyślniejsze rozstrzygnięcie przeciwne? Cóż to za poziom rzetelności intelektualnej, gdzie nie czuje się potrzeby zgody z sobą samym, gdzie nie razi bynajmniej organizowanie się i walka publiczna w imię zasad, którym nie życzy się — w głębi duszy — urzeczywistnienia? Kosztowne, bardzo kosztowne moralnie jest takie „udawanie polityczne" wobec żydów. Przecież z tego środowiska właśnie, z ludzi w takiej szkole życiowej wyrosłych, rekrutuje się najmłodsze pokolenie podpór „systemu", robiących karjery w administracji państwowej, sądownictwie i t. d. Jakiż jest ich stosunek wewnętrzny do idej, któremi się popisują, jakiż mogą okazać heroizm w ich obronie, gdzie wiara w słuszność, prawdę swego stanowiska, nie pozwalająca się ugiąć, zastraszyć, przekupić? I czyż nie jest to najgorszy sposób kształcenia charakterów, wychowania politycznego warstwy kierowniczej w narodzie?

*

Drugi podobny przykład.

Człowiek inteligentny, interesujący się polityką, rozmawiał ze mną na temat niebezpieczeństwa żydowskiego i konieczności samoobrony:

— Niechby tylko narodowcy doszli do władzy — mówił — niechby mieli rząd i biurokrację w swojem ręku! Można przecież, zachowując wszystkie pozory równości obywatelskiej, nie usuwając żadnego z przysługujących dziś żydom uprawnień, tak w praktyce, pocichutku ich przydusić, że, poprostu, nie będą mogli się poruszyć, całkowicie zostaną skrępowani... Ho, ho! Każdą ustawę można przecież tak dostosować w wykonaniu, pouczywszy urzędników w poufnych instrukcjach, że nie zmieniając ani literki w dzisiejszej Konstytucji...

— Ależ, panie kochany! — zawołałem — Dlaczegóż nie mielibyśmy wystąpić z programem reformy Konstytucji? Czy pan sądzi, iż przystoi to wielkiemu narodowi, żeby cele swe, które uważa za najsłuszniejsze i najsprawiedliwsze, urzeczywistniał chyłkiem, „pocichutku", utrzymując „pozornie", sprzeczne z niemi, przepisy ustawowe i głosząc przeciwną ideologję? Czyż prawo polskie nie powinno być możliwie najwierniejszem odbiciem dążeń i przeświadczeń narodu polskiego? I czy nasz honor mocarstwowy może zezwolić, by jakaś obca, zewnętrzna wola decydowała o układzie stosunków w naszem państwie, by przez wzgląd na nią nadawać Polsce formy ustrojowe, które następnie poprawiać trzeba „poufnemi instrukcjami", sztuczkami komentatorów?!...

*

Program naprawy Konstytucji, stawiający postulat pozbawienia żydów praw politycznych, tudzież wyodrębnienia ich — pod względem stanowiska prawnego — od reszty mieszkańców kraju, ma znaczenie nietylko praktyczne bezpośrednio, ale — w równej bodaj mierze — wychowawcze. Nie chodzi jedynie o faktyczne oddzielenie żydostwa, pozbawienie go możności wpływania na tok życia polskiego, ważne jest, żeby to dzieło reformy dokonane było w jasnem świetle prawa, w sposób przemawiający do wyobraźni ogółu, jako akt sprawiedliwości, bez cienia fałszu i obłudy. Nie są to — z narodowego punktu widzenia — jakieś względy błahe, czy drugorzędne.

Polsce szczególnie potrzeba obecnie stworzenia trwałych instytucyj prawnych, respektowanych przez rządzących i przez rządzonych, potrzeba praworządności, która weszłaby w krew, instynkt, obyczaj, zapewniła bytowi zbiorowemu ład, obliczalność, bez których niema normalnego rozwoju w życiu cywilizowanem, społecznem. Ale stan taki możliwy jest wtedy wyłącznie, gdy formalne postanowienia ustawodawcy nie są w sprzeczności z żywą treścią prawnego poczucia narodu, gdy ich zasady są — w świadomości ogółu — oparte na prawdach niewzruszonych, oczywistych. Nic też w istocie bardziej przeciwnego narodowym pojęciom o porządku prawnym i ustroju, jak np. nadawanie krajowi takiej ordynacji wyborczej do ciał przedstawicielskich, przy której zgóry liczy się na potrzebę „poprawiania" niebezpiecznych — z państwowego stanowiska — wyników, przez stosowanie administracyjnego nacisku czy oszustwa. Prawo musi być szanowane uczciwie, niepołowicznie, a wobec tego musi też pozostawać w zgodzie z rzeczywistością, którą dane mu jest organizować.

Pod tym względem położenie jest wyraźne i zmusza do wyciągnięcia wniosków. Rzeczywistość nasza ukazuje w sposób jasny, nie dający się zaprzeczyć, niewątpliwy, że inny zgoła jest stosunek moralny do Polski, do jej przeszłości i przyszłości, u Polaka rdzennego, inny zaś u obcego nam krwią,

---

[1]) Władysław Jan Grabski: „Bracia", powieść, Warszawa. Tow. Wyd. „Rój".

religją, obyczajem—przybysza-żyda. I rzeczywistość domaga się coraz natarczywiej, by ta różnica faktyczna znalazła również odpowiednik w różnicy prawnej: w możności lub niemożności rozstrzygania o sprawach polskich, udziału w polskiej władzy prawodawczej, wykonawczej, sądowej.

A przytem—o, rozmiłowani w idei równości demokracji—jak sympatyczny wydać się wam dziś musi taki projekt, pozbawiający praw politycznych w Polsce niespełna cztery miljony ludności napływowej, kiedy tak lekko rzuca się obecnie pomysły ograniczenia praw około trzydziestu miljonów, wszystkich wogóle obywateli w państwie, nie posiadających... orderów...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DISCITE HISTORIAM... „Polityka tego rządu... [austrjackiego] w całym swoim obszarze była jednostajna, konsekwentna. Był to system nieograniczonego poświęcania wszystkiego na korzyść państwa, system z żelazną logiką przeprowadzony, nie wahający się nigdy, nie cofający się przed niczem, nie wzdragający się, nie wstydzący się niczego. Wobec państwa znika indywiduum, znika prawo, znika religja, znika uczucie moralności, znikają wszystkie podstawy społeczeństwa. Dla państwa ginie majątek prywatny, ginie rolnictwo, handel, przemysł, poza państwem nie istnieje nic, a wszystko, co w państwie jest, można spalić i z dymem puścić, można zarzezać jak w r. 1846, jeśli krew i ogień potrzebne są do składu tego kitu, który wiąże różnorodne prowincje monarchji...

„Żaden z ludzi, którzy dali się użyć za narzędzia zbrodni w r. 1846, nie mógł zaprzeczyć, że to, co się wówczas stało, jest najokropniejszą zbrodnią, ale zbrodnię tą uprawniła potrzeba państwa. Niema ani jednego urzędnika fiskalnego w Galicji, któryby nie wiedział, że prawa i przepisy fiskalne o handlu i przemyśle w Galicji są uzurpacją praw słabszego przez mocnych, są wydarciem grosza poddanych, ale tę uzurpację i to zdzierstwo uniewinniła potrzeba państwa. Niema ani jednego urzędnika sądowego, któryby nie spostrzegł, że przepisy postępowania sądowego są tamą sprawiedliwości,—ale tą nieprawość uzacniała potrzeba państwa. Nie było wkońcu ani jednego oświeceńszego człowieka w Austrji, któryby nie czuł, że system wprowadzony do szkół wiedzie do ogłupienia i upadku duchowego narodu, ale tę metodę [drukarczyk złożył: mętodę] ciemnoty i demoralizacji, umoralniała potrzeba państwa.

„Tak państwo, wziąwszy w swoje ręce wszystkie żywioły socjalne, szykowało je wedle swej myśli i potrzeby, a burząc dzieło przyrodzone, wyrywając boskie warunki organizacji człowieka i społeczeństwa, wprowadziło w kraj zamęt oraz anarchję..."

Taką diagnozę polityki austrjackiej postawił był przed 80 u laty W. Kalinka („Galicja i Kraków pod panowaniem austrjackiem" r. II). Myśmy patrzyli na skutki scharakteryzowanego systemu. *„Discite historiam, exemplo moniti"*.

IMITUJĄC Obóz Wielkiej Polski, utworzyła „sanacja" ongiś „Legjon Młodych". Więcej samodzielności okazuje teraz, próbując stworzyć „Legjon Starych". Ci zasłużeni dobrani będą, jak wiadomo, wedle kryterjum orderów. Jednocześnie, wraz z reformą uposażeń urzędniczych, znacznie posunęła się naprzód sprawa elity. Urzeczywistniono wreszcie elitę pensyj... W związku z tem może zmniejszy się w społeczeństwie szacunek dla orderów i dla pieniędzy. Jest to naprawdę pilną potrzebą cywilizacyjną, aby zmniejszył się jaknajwydatniej. W imię godności narodowej trzeba racjonalnie szerzyć to nieposzanowanie. Niewątpliwie ambicją pieniądza i orderu będzie odbieranie ukłonów coraz niższych. „Legjon Starych" z pewnością odniesie się odpowiednio. Byłoby to nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdyby wogóle miał się przez to uszczuplić szacunek dla ludzi starszych. Co się tyczy poszanowania orderów, to zaznaczyć należy, że nadwyrężyła je sama reforma, która tak zlekceważyła kawalerów „Polski Odrodzonej" i „Krzyża Walecznych". Order, sam przez się, nie daje widać prawa do starszeństwa, do zasługi, do członkostwa w „Legjonie zasłużonych". Kawaler *„Polonia Restituta"* wysługiwać się może conajwyżej w „Legjonie Młodych", dalej drogę ma narazie zamkniętą. Nikt zaś dotąd nie podjął się wytłumaczyć, czemu odznaczeni orderem „Polski Odrodzonej" mniej mają warci być od udekorowanych orderem „Krzyża Niepodległości", oraz czemu kawalerowie „Krzyża Walecznych" tak mało są zasłużeni. Nieuzasadnione niczem rozróżnienie musiało, powtarzamy, poderwać zaufanie do hierarchji, opartej na orderach, co w społeczeństwie, mało w tych kwestjach wyrobionem, już coś warte. Lecz o wiele groźniejszy dla orderów jest duch dawnej Polski, ten najlepszy, a zasadzie tego rodzaju hierarchji wielce nieprzyjazny, nauczyciel godności obywatelskiej. Trzeba będzie całkiem usunąć Kochanowskiego ze szkół, zanim zasada będzie miała jakiekolwiek widoki utrwalenia się w duszach młodzieży.

Większe postępy poczynił, w ostatnich czasach, szacunek dla pieniądza. Pieniądz znacznie głębszą budzi dziś cześć, niż order. Dlatego bardzo poważnie należałoby obmyślić sposoby, jakiemi najskuteczniej możnaby chwasty tej czci wyplenić. Nie można się spodziewać, aby chwast ten tępiony był z pomocą administracji państwowej, jak berberys. Ważny obowiązek niszczenia go wziąć musi na siebie w całości społeczeństwo. Jest do tego nieprzygotowane, zdemoralizowane też złym wpływem dzisiejszej Europy. Lecz i tu z sukursem mu przyjdzie duch cywilizacji narodu i duch cywilizacji całej, przecież nie zmarłej, średniowiecznej Europy. Z tymi przeciwnikami nie wytrzyma spotkania — elita pensyj...

DROBNE ZDARZENIE z przed lat już kilkunastu naprowadza na myśl o stylu życia publicznego w dzisiejszej Polsce. W gmachu sejmowym doszło do starcia między ówczesnymi posłami: ś. p. Władysławem Rabskim i płk. Bogusławem Miedzińskim. Jednym z epizodów tej walki było, że przeciwnik wyrwał p. Miedzińskiemu półkoszulek.

Szczegół ten dobrze utkwił w pamięci przytomnych. Niewątpliwie od tego czasu bardzo dużo zmieniło się w sanacyjnej modzie. Prawdopodobnie p. Miedziński nie nosi teraz półkoszulka. Ale

nie chodzi nam o zaznaczenie tej ewolucji poglądów osobistych. Przypuszczamy, że cała elita nie nosi dziś półkoszulków. Nie przystoi — a może nie wolno? Kwestje takie bywają dziś regulowane ściśle. Są, o ile nam wiadomo, na terenie Polski obszary, gdzie zakazane jest np. używanie *„dugi“* w zaprzęgu włościańskiem. To też nie wnikając w przyczyny, przypuśćmy poprostu, że półkoszulek obecnie nie stanowi istotnej części garderoby członków „elity“. Rzecz w tem, że jednak nie zginął, nawet się upowszechnił. Tylko nosi się go inaczej. Ściślej mówiąc, przetrwała zasada półkoszulka. Ta jest nie do zlekceważenia. Ba, choć nie noszą go już, zasadę nadal stosują najwierniej.

W czemże to widoczne? Dość spojrzeć najpobieżniej na miasto, aby sprawdzić, jak charakterystyczne dla architektury ulic Warszawy jest prezentowanie okazałej fasady przez domy, nieotynkowane wcale z boków i z tyłu. Nie inna zasada panuje na współczesnej architekturze politycznej. „Półkoszulek“ stał się w niej symbolem najwyższej elegancji. Obowiązuje przedstawicieli rządu i prezesów komisyj sejmowych. W oświadczeniach ich jest ta poprawność i wytworność, którą z pojęciem półkoszulka stale łączymy. Czy to mowa o reformach konstytucyjnych, czy o zmianie złych obyczajów politycznych, czy o wychowaniu państwowem, czy o budowie kultury, czy o szacunku, jaki wzbudzamy zagranicą, czy o nieodzowności „elity“, zawsze odnosimy wrażenie, że kwestja ma swoją więcej elegancką i mniej elegancką stronę, i że odwraca się do nas swym sztywnym frontem, jakże niepodobnym z wyglądu do reszty zagadnienia. Posługując się dalej przenośnią, stwierdzić można, że do zasad tej elegancji należy, aby półkoszulek nosić o ile możności wprost na gołem ciele... więc nową konstytucję włożyć wprost na „sanację“.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Akademja literatury po raz pierwszy obradowała nad nagrodą „dla młodych“ ministra W. R. i O. P. Nagroda ta przyznawana jest za najwybitniejsze dzieło literackie, opublikowane w ciągu dwóch ostatnich lat pisarzowi, który nie przekroczył 30 lat życia. Zgłoszono kandydatury następujące: Michał Choromański za powieść „Zazdrość i medycyna“, Michał Rusinek za powieść „Burza nad brukiem“, Kruczkowski Leon za pow. „Kordjan i cham“, Piechal Marjan za tom poezji „Garść popiołu“, Rudnicki Adolf za powieść „Żołnierze“, Sebyła Władysław za poemat „Koncert egzotyczny“ i Szemplińska Elżbieta za powieść „Narodziny człowieka“. Po dyskusji Akademja uznała za dzieło najgodniejsze nagrody powieść Michała Choromańskiego „Zazdrość i medycyna“ i temu pisarzowi przyznała nagrodę w wysokości 3 000 zł.

Michał Choromański urodził się w r. 1904 w Elizawetgradzie, w Rosji, skąd przyjechał do kraju, po bardzo ciężkich przeżyciach dopiero w r. 1924. Wiele pisał po rosyjsku, w 1929 roku wydał „Antologję Poetów Polskich“ w tym języku, przetłumaczył również na rosyjski „Laur Olimpijski“ Wierzyńskiego (1929). Debiutuje w Polsce opowieścią p. t. „Biali Bracia“ (1931), która spotkała się z bardzo życzliwem przyjęciem krytyki, a w następnym roku wydaje powieść „Zazdrość i Medycyna“. O powieści tej pisaliśmy w „Myśli Narodowej“ w r. 1933.

*

Jury nagrody literackiej Związku zaw. literatów polskich w Krakowie w osobach: prezesa Karola Huberta Rostworowskiego, Anieli Gruszeckiej-Nitschowej, Stefana Kołaczkowskiego, prof. Stanisława Pigonia i Jerzego Brauna, na posiedzeniu w d. 22 b. m. przyznało nagrodę za rok 1932 Tadeuszowi Kudlińskiemu za powieść p.t. „Wygnańcy Ewy“. *Jury* brało pod uwagę dzieła literackie, ogłoszone lub wystawione w roku 1930—31—32.

Poprzednie nagrody Związku zaw. lit. polskich w Krakowie otrzymali: Jan Wiktor (za rok 1930) i Józef Alfred Gałuszka (za rok 1931). Tadeusz Kudliński (ur. 1898) w roku 1928 wydał tom nowel o sporcie pt. „Pierwsza miłość panny Eli“, w roku zaś 1930 powieść biograficzną, opartą na przeżyciach z okresu wojny pt. „Smak świata“.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W tych dniach ukazała się niezmiernie cenna książka Zbigniewa Krasnowskiego (pseudonim) p. t. „Światowa polityka żydowska“. Jest te niezaprzeczenie najlepsze w literaturze naszej dzieło z tego zakresu.

W najbliższym czasie praca ta omówiona będzie szeroko na łamach „Myśli Narodowej“.

Książka Z. Krasnowskiego jest do nabycia w administracji naszego pisma, Warszawa, Al. Jerozolimskie 17. Cena 4 zł. (z przesyłką pocztową 5 zł.).

*

Młody specjalista epoki króla Jana III, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Kazimierz Piwarski, opublikował ostatnio obszerną rozprawę historyczną, poświęconą zwycięzcy z pod Wiednia, choć bynajmniej nie owianą duchem jubileuszowego panegiryzmu. Nosi ona tytuł: „Między Francją a Austrją. Z dziejów polityki Jana III Sobieskiego w latach 1687 — 1690“. (Rozprawy Pol. Akad. Um., t. 69) Ze znawstwem przedmiotu nakreślił nam autor obraz powiedeńskiej, pełnej powikłań polityki zagranicznej i wewnętrznej króla Jana. Na terenie zewnętrznym usiłuje wtedy Sobieski, mimo wprzęgnięcia się w jarzmo Ligi Świętej i mimo zawarcia pokoju z Moskwą, zachować niezawisłość działania i w tym celu oscyluje pomiędzy dwiema zwalczającemi się potencjami, Francją i Austrją. Po krótkim, a przypuszczalnie nie zanadto szczerym okresie nasilenia wpływów francuskich na dworze polskim w l. 1688/90, nastąpił powrót do habsburskiej polityki, tak w stosunkach zagranicznych, jak również wewnętrznych. Szczególnie tym ostatnim poświęca autor wiele uwagi, poddając politykę królewską i walkę stronnictw polskich szczegółowej analizie historycznej. Rzecz ciekawa, że postać króla Jana, opromienionego świeżą wiktorją wiedeńska, traci w świetle tych badań wiele ze swego znakomitego blasku. Ze zdumieniem spostrzega czytelnik, że cel polityki królewskiej, dla której myśl dynastyczna zapewnienia tronu w Polsce Jakubowi dominuje ponad wszystkiem, zbyt często kłóci się z interesem polskiej racji stanu i najniepotrzebniej zaognia i uniemożliwia porozumienie w sprawach wewnętrznych pierwszorzędnej wagi. Drugą, rzucającą się w oczy cechą polityki króla Jana, jest dziwna słabość, brak konsekwencji i niczem nieusprawiedliwiona ustępliwość wobec bruździących warchołów: Sapiehów, Lubomirskiego i innych. Nie tego spodziewamy się u wodza, który parę lat przedtem ratował swą piersią chrześcijaństwo, a z nim cywilizację łacińską. Bezpłodność wysiłków na wszystkich ważniejszych polach, bo w polityce zagranicznej, wewnętrznej, w akcjach militarnych i w planach dynastycznych znamionuje zmierzch genjuszu króla „Mściciela“.

Przypuszczać należy, że autor, któremu w ostatnich czasach zawdzięczamy szereg interesujących studjów nad epokę Sobieskiego, w następnych swoich pracach wyjaśni jeszcze bliżej, co w działaniu powiedeńskiem Jana III było jego własną inwencją, a co płynęło z natchnień królowej Marysieńki, Szczuki lub znakomitego księdza Voty. (Z. Y.).

*

Asystent skasowanej przez ministra W. R. i O. P. katedry historji kultury polskiej na Uniwersytecie krakowskim, dr. Henryk Barycz, po żmudnej, kilkoletniej pracy w archiwach i bibljotekach polskich, niemieckich. wiedeńskich i włoskich przedstawił ostatnio w Akademji Umiejętności owoc swoich wysiłków, dzieło p. t. „Historja Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce Odrodzenia“. Jest to zatem kontynuacja pomnikowej „Historji Uniwersytetu Jagiellońskiego“ Kazimierza Morawskiego, której, niestety, znakomity ten i wytworny znawca antyku i kultury polskiej, a w szczególności „złotego wieku“, nie zdołał za życia swego ukończyć.

Dzieło dr. Barycza, które niebawem ukaże się na półkach księgarskich, wypełni zatem lukę, którą powszechnie odczuwano. Zanim w formie zwartej i wykończonej szeroka publiczność dostanie w swe ręce owo przedstawienie dziejów naukowych, literackich, organizacyjno-ustrojowych i obyczajowych Wszechnicy Jagiellońskiej, ogłosił dr. Barycz szereg obrazków z życia uniwersyteckiego w książce p. t. „Szkice z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego“ (Bibljoteka krakowska Nr. 80), o której już na łamach „Myśli“ wspominano. (Z. Y.).

*

Nowa książka Adolfa Nowaczyńskiego, „Tylko dla kobiet“, (str. 225 wyd. „Rój“ w Warszawie), zawiera szereg studjów obyczajowych z dziejów kultury w Polsce lub na szerokim świecie, działalnością wybitnych osób lub splotem zdarzeń z kulturą polską związanych. Darzy takiem bogactwem wrażeń, że, aby dać o książce wyobrażenie, trzebaby ją w całości przepisać. Pisał ją historyk, autor dramatyczny, człowiek ze skłonnościami do form życia niezwykłych, żołnierz, wojażer, więzień, pisarz namiętny, kapryśny, erudyt i poeta. Stąd łatwość wczucia się w atmosferę krajów i epok, dwoistość czy wielokrotność przetwarzań się w rolę świadka dawno minionych wypadków, bezpośredniość, czar, który owłada czytelnikiem i prowadzi go w krainę ułudy. Przeważna większość studjów — to sylwety, portrety psychologiczne żon, kochanek i przyjaciółek głośnych artystów. Pióro przy pisaniu tych żywotów wiodła Muza historji, a czasem, na chwilę odbierał jej to pióro psotny chochlik, kronikarz miłostek i intryżek. Nowaczyński najlepiej czuje się na arenie historji, więc tło opowiadań nasycone jest barwami nastrojów politycznych, pełnych niespokojnego gwaru, dźwięku bitew, szelestów dyplomatycznej korespondencji, piękna sztuki i mody, co składa się na powabną rozmaitość. Styl wzrusza i bawi. Sławny styl Nowaczyńskiego, wyrosły na klasycznej prozie siedemnastego stulecia, ale tchnący świeżością i z rezonansem współczesności, o coraz innych obliczach i melodjach, igraszkach słownictwa niespodziewanych, we współczesnej literaturze może najbardziej oryginalny, twórczy, nieporównany. Książka „Tylko dla kobiet“ mądra, pogodna, uśmiechnięta. Można jej słuchać w nieskończoność. (A. W.).

*

Powieść Zdzisława Marynowskego „Okręt bez kotwicy“ (nakł. Gebethnera i Wolffa) nie ma nic wspólnego z morzem, ani też z marynarką — chyba z tą marynarką, w której są, prócz kieszeni, klapy i guziki. W powieści Marynowskiego, prócz kilku metrów trochę opatrzonego materjału, niema też prawie nic więcej, jak nici, klapa i guzik. Banalna poprawność i szablonowość cechują od początku do końca tę robotę, która jest na miarę krawca, nie Fidjasza. W wagonie się rozpoczyna akcja tej prawdziwie wagonowej powieści; obyczajem reporterskim i snobistycznym, trochę już podstarzałym, autor zaraz na wstępie popisuje się encyklopedją nazw geograficznych: „Samotnemu a pełnemu sił żywotnych i rozmachu młodzieńcowi nie byłoż wszystkie jedno: Paryż czy Warszawa, Manchester czy Łódź, Madryt czy Poznań?“ Poniekąd prawda to, bo i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, możeby jednak było lepiej, by pełni sił żywotnych i rozmachu młodzieńcy zużywali swą energję choćby na głębsze przemyślenie i opracowanie swych powieści, jeżeli już koniecznie mają obierać zawód powieściopisarzy. Motywów nowych, nieoklepanych jeszcze spotyka się w powieści Marynowskiego nader mało, wprawdzie nas autor zapewnia, że fakt uwiedzenia narzeczonej przyjaciela przez fircyka „światowca“ „stwarza w tym wypadku zgoła wyjątkową sytuację, z której wyjście nie jest łatwe i nie da się uskutecznić przy pomocy jakiegoś szablonu“, atoli, prawdę mówiąc, takie „wyjątkowe sytuacje“ spotykało się już u starego Plauta, a szablonowe z nich wyjście znaleźć można w pierwszej lepszej efemerycznej komedji francuskiej czy filmie. Nowością w tej sytuacji jest tylko to, że Amfitrion nazywa się tu Brózda i że mu bróździ rzutki publicysta nazwiskiem Radowski. Ten Brózda miejscami udał się autorowi, podobnie jak postać totumfackiego Zbierskiego przy staranniejszem wykończeniu możnaby uznać za udatną; agent koncertowy Rozesteru mniej się udał — Marynowski nie umie pochwycić gwary żydowskiej, czyni ją podobną do gwary rzekomo murzyńskiej, jakiej używają niektórzy tłumacze filmów i powieści. Wśród wszelkich łatwizn i spowszedniałych *trick*'ów, jakiemi posługuje się autor, uderza większą pomysłowością tylko rozdział o moralnej katastrofie Radowskiego, któremu krytycy wybili z głowy wielkie ambicje literackie. Poczciwy Brózda taki morał wyciąga z tego faktu: „Zjechali cię?... do djabła z nimi! Takie ich prawo. Jest czem się przejmować!“ (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DRUGA edycja wychowanków prof. Pruszkowskiego zjednoczyła się w stowarzyszeniu pod nazwą „Szkoła Warszawska“. Nazwa ta może służyć jednocześnie (dziś bardziej niż kiedykolwiek) już nie dla określenia jednego towarzystwa artystycznego, a twórczości całej rzeszy młodych artystów, oznaczając zarazem pewną wspólnotę upodobań, poglądów, a także idej. Wprawdzie między poszczególnemi stowarzyszeniami, powstałemi na terenie warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych, istnieją zupełnie wyraźne różnice, sytuacja jednak, z jaką mamy do czynienia obecnie na terenie naszej plastyki, pobudza do czynnej solidarności, dając tym stowarzyszeniom tło, na którem przedewszystkiem zarysowują się podobieństwa, a nie różnice.

By wyjaśnić czytelnikowi, na czem wspominana sytuacja polega i jak do niej doszło, muszę się cofnąć wstecz i wskazać na szereg faktów z najbliższej przeszłości naszego życia artystycznego. Do roku 1930-go mniejwięcej, działalność Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie przedstawiała obraz jasno określony w charakterze i zupełnie jednolity. Trzeba dodać, iż był on całkowitem przeciwstawieniem obrazu Akademji Krakowskiej, silnie ulegającej wpływom „szkoły paryskiej“, a nawet posiadającej w stolicy Francji swoją filję.

W tym to czasie zjawia się na terenie Warszawskiej Szkoły nowy pedagog, Leonard Pękalski. Ponieważ Pękalski był wyznawcą całkiem odmiennego *credo*, jego udział w nauczaniu mogliśmy uważać za pożądane odciążenie zbytniej może jednostronności metod pedagogicznych uczelni (geometryczna dekoracyjność [1]). Nie na tem koniec jednak, wkrótce okazało się, że to był raczej początek. Wślad za Pękalskim przybywa na Wybrzeże Kościuszki drugi profesor z Krakowa, F. Kowarski. Razem z nim przenosi się do Warszawy grono jego uczniów; wokół obu gromadzą się starzy i nowi uczniowie, wyznawcy, szerzyciele poglądów mistrzów.

Przybywają do nas z początku na gościnne występy, a potem już na stałe „kapiści“ (właśnie wychowankowie tej filji paryskiej Ak. Kr.). Wykazują niesłychaną pomysłowość w zwracaniu na siebie uwagi, są nadzwyczaj przedsiębiorczy, ruchliwi i czynni (bardziej nawet, niż w malarstwie) w zwalczaniu i atakowaniu wszystkich tych, co nie piszą się na ich poglądy. Nawiązują kontakt z prasą, starają się ją pozyskać, sami chętnie pisują, wygłaszają odczyty o sobie, organizują dyskusje. Organem ich na Warszawę są „Wiadomości Literackie“, tu w dziale sztuki najchętniej i najczęściej przemawia p. J. Czapski. Ha, czasy się zmieniają, dawniej się mówiło: każdy szlachcic ma swego żydka, — dziś niejeden żydek ma swego szlachcica.

Wymienieni, z prof. Kowarskim na czele, utworzyli Związek, przyjmując nazwę „Związku Zawodowego Plastyków“. Pragną pod swemi sztandarami mieć jak największą ilość artystów, by wygrać argumentem liczebności i skupić w swem ręku wpływy. Organem oficjalnym Związku jest wydawany w Krakowie, a niezmiernie interesujący się Warszawą, „Głos Plastyków“, gdzie dla odmiany poucza lub karci nas p. T. Czyżewski.

Tak ruchliwi polscy przedstawiciele *„Ecole de Paris“* nie mogli oczywiście pozostawić na uboczu swych zainteresowań trzech naszych głównych instytucyj, poświęconych sprawom sztuki: Akademji Sztuk Pięknych, IPS-u i „Tow. Szerzenia Sztuki Polsk. Wśród Obcych“. W Akademji oddawna już ugruntowali swe wpływy, w radzie IPS-u mają swego przedstawiciela (Czapski) i starają się zawsze brać jaknajliczniejszy udział w Salonach tej instytucji (zysk: prawo głosu wyborcy). Jeśli chodzi o „Tosspo“,

[1]) W ten właśnie sposób sam oświetliłem sprawę w „Myśli Nar.“: Nr. 44, 2. XI. 1930r.

znany jest zatarg, jaki powstał między tem towarzystwem, a „Związkiem Plastyków“, na tle udziału w wystawie sztuki polskiej w Moskwie. Mimo b. silnego poparcia „Związku“ przez Ministerstwo S. Z. do porozumienia z kierownikiem „Tosspo“, dyr. Treterem, nie doszło. „Związek“ ogłosił dla swych członków bojkot tej wystawy i, trzeba przyznać, artyści zrzeszeni w „Związku“ zachowali zupełną solidarność: nikt, zapraszany oddzielnie przez dr. Tretera, udziału w wystawie nie wziął. Potem nastąpiła obustronna wymiana żalów na łamach „Wiadomości Literackich“.

Jak widzimy, istny najazd paryskich Krakowian na Warszawę. Przybyli jako malarze, zaatakowali przedewszystkiem miejscowych malarzy (wychowanków prof. Pruszkowskiego), starając się na wszelki sposób podważyć im fundamenty, zarówno te praktyczne, jak ideowe. Graficy, rzeźbiarze, przedstawiciele sztuki wnętrza, z warszawskiej Akademji, nie czuli się bezpośrednio zagrożeni, wychowani jednak w atmosferze podobnej ideologji, tem wyraźniej, wobec takiej sytuacji, zdali sobie sprawę z tego, co ich łączy z kolegami-malarzami. Na odbytem niedawno zebraniu wyborczem do *jury* „Salonu Zimowego“ IPS-u już zupełnie niedwuznacznie zarysowały się dwa fronty: „Związku Plastyków“ i drugi — stowarzyszeń, powstałych na terenie warszawskiej Akademji. Oba wystawiły własne listy członków *jury* Salonu i *jury* nagród.

Trzeba podkreślić smutną paradoksalność zjawiska: gwałtowna kampanja i arbitralność sądów tych zwolenników, już nie sztuki dla sztuki nawet, a malarstwa dla malarstwa jedynie, zbiega się z faktem głębokich i wręcz w odmiennym kierunku idących przeobrażeń na terenie sztuki i w poglądach artystów polskich, a także (o ironjo) obcych.

Ale o tem innym razem.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

ASZANTKA

SKACZĄCA bardzo kapryśnie (ach jak bardzo kapryśnie!) tak zwana — że się posłużymy wyrażeniem ulubionem przez warszawskich teatralogów — „linja repertuarowa“ Teatru Polskiego — śmignęła nagle a niespodziewanie wysoko, wysoko w górę.

Wystawiono tam „Aszantkę“ nieodżałowanej pamięci Włodzimierza Perzyńskiego, komedję, co tu gadać, arcydzielną, niewątpliwie jedną z najlepszych (z tuzina najlepszych), jakie w naszej literaturze dramatycznej posiadamy.

Wystawiono ją, niestety, bardzo pretensjonalnie, tandetnie i niedbale.

Pokuszono się o stworzenie widowiska stylowego i nie potrafiono tego chwalebnego zamiaru wykonać.

Inscenizatorzy robiąc z „Aszantki“ sztukę kostjumową, zamiast zdecydować się na jakąś ściśle określoną modę, (dajmy na to modę z roku 1907, w którym „Aszantka“ po raz pierwszy została wystawiona w teatrze Małym—dla aktu trzeciego, oraz modę o parę lat wcześniejszą dla aktów pierwszego i drugiego) wywlekli na scenę nieprawdopodobnie kłócące się z sobą okazy garderoby męskiej i damskiej z lat 1890—1914, dzięki czemu powstał bardzo przykry chaos, zamiast pożądanej jednolitości.

W życiu chaos zdarza się bardzo często, ale na scenie jest nieznośny. Nieboszczyk Bazewicz obnosił po Warszawie swoje staroświeckie cylindry i podszyte futrem peleryny jeszcze po wojnie europejskiej, ale był fenomenem, nie zaś zjawiskiem typowem. Perzyński w swojej sztuce nie pokazywał fenomenów, lecz typy warszawskie z epoki „secesji“ i „moderny“. Tymczasem większość figur, jakie zobaczyliśmy w Teatrze Polskim, sprawiała wrażenie ekscentrycznych fenomenów.

Ekscentrycznym fenomenem jest nietylko baron w interpretacji pana Grabowskiego, ale również Łoński w interpretacji pana Kreczmara: nie ma on w sobie nic z typowego, złotego młodzieńca owych czasów, w których akcja „Aszantki“ się rozgrywa. Ekscentrycznym fenomenem jest sama „Aszantka“ w interpretacji panny Eichlerówny. Takiej przesadnie gruboskórnej dziewczyny, jaką robi ta utalentowana artystka—w pierwszym akcie—żaden Łoński na utrzymanieby nie wziął, a stosunek „miłosny“ mógłby mieć z nią chyba tylko po pijanemu. Dwie naczelne role (Łoński i „Aszantka“) zostały obsadzone zupełnie fałszywie. Role drugoplanowe wypadły nieco lepiej. Ale widowisko w sumie bardzo słabe, na poziomie teatrów prowincjonalnych.

ZASTĘPCA

TEN, CZY TAMTEN?

NOWA komedja Stefana Kiedrzyńskiego pod tytułem „Ten, czy tamten?“, wystawiona w ub. poniedziałek w Teatrze Małym, przyjęta została przez publiczność premjerową bardzo gorąco. Oklaskiwano frenetycznie poszczególne dobre dowcipy, od których komedja owa się roi i poszczególne sceny, między któremi nie brak doskonałych, dających aktorom bardzo obszerne pole do popisu. Po każdym akcie rozlegały się oklaski huraganowe. Po akcie drugim urządzono autorowi burzliwą, długotrwałą owację. Sukces sztuki zdaje się być na długie tygodnie zapewniony.

Komedja napisana jest z dużą werwą i równocześnie z dużem majsterstwem. Kiedrzyński jest pisarzem bardzo doświadczonym. Znakomicie wie, jak trafić do publiczności, czem ją rozgrzać. W ostatniej swojej sztuce operuje sposobami oddawna wypróbowanemi i niezawodnemi, które zapewniły powodzenie tylu poprzednim jego utworom. Bohaterką komedji jest kobieta z dobrem, niezepsutem sercem i chwiejnym dosyć charakterem: córka bogatego bardzo fabrykanta z Tomaszowa, która wyszedłszy za mąż za ubogiego, ale bardzo podobno utalentowanego artystę muzyka, i przeżywszy z nim w wielkiej biedzie trzy lata, decyduje się nagle, pod wpływem rodziny, na rozwód z kochającym ją i kochanym przez nią nawzajem mężem, ponieważ nie jest w stanie dłużej znieść nędzy. Rodzina chce ją wydać za mąż po rozwodzie za bogatego dyrektora cukrowni, skończoną szuję. Młoda kobieta łudzi się przez półtora aktu, że potrafi zdusić w sobie miłość dla męża i wyjść powtórnie za mąż za człowieka niekochanego, w tym celu, aby zapewnić zarówno sobie, jak kochanemu mężowi możliwość lepszej egzystencji. Ojciec jej — potworny typ opasłego burżuja, gotów jest dać muzykowi dziesięć tysięcy złotych wzamian za zgodę na rozwód. Okazuje się jednak, że serce pani Naty (tak brzmi imię bohaterki) silniejsze jest od jej charakteru, który dał się uwieść pokusie. W akcie ostatnim żona wraca do męża, przekonawszy się, że uczucia w imię poziomego interesu materjalnego zgwałcić nie potrafi.

Problemat moralny, roztrząsany przez Kiedrzyńskiego w przeciągu trzech aktów, jest tylko pretekstem do wprowadzenia na scenę całego stada bydląt ludzkich, skarykaturowanych znakomicie. Postacie ujemne narysowane są przez autora bardzo żywo. Ojciec bohaterki, jej macocha, dyrektor cukrowni, starający się o rękę pani Naty, kochanka owego dyrektora — urzędniczka cukrowni i wreszcie narzeczony owej kochanki — chorobliwie o nią zazdrosny ćwierć inteligent — tętnią krwią. Wierzymy w ich istnienie. Podzielamy przytem odrazę, jaką żywi do nich Kiedrzyński. Śmiejemy się z nich równocześnie z autorem, ponieważ są to typy śmieszne, bardzo trafnie przez Kiedrzyńskiego wyszydzone.

Niestety, gorzej udały się Kiedrzyńskiemu typy dodatnie — te, z któremi autor sympatyzuje. Szlachetny muzyk, będący w sztuce figurą naczelną, naszkicowany został bardzo konwencjonalnie. Gada wzniosłe banały, z któremi niepodobna sympatyzować. Nieznośny jest, gdy bajdurzy o sztuce. Wbrew intencjom autora jest on równie śmieszny, jak te postacie, które Kiedrzyński zamierzał wydrwić.

Nie podzielamy również wyrozumiałości i sympatji, żywionej przez autora dla głównej bohaterki sztuki. Pani Nata, tęskniąca do życia komfortowo-luksusowego do tego stopnia, że decyduje się na świństwo (którego na szczęście nie popełnia) budzi — znowu wbrew intencjom autora — niechęć od pierwszej chwili, w której zawarliśmy z nią znajomość.

Pomimo to jednakże, zalety sceniczne nowego utworu Kiedrzyńskiego tak dalece górują nad jego wadami, że widowisko od początku do końca jest nader interesujące. Gra aktorów naogół świetna. Gorczyńska, Warnecki, Samborski, Zelwerowicz, Munclingrowa, przedewszystkiem zaś Kondrat zasługują na najgorętsze komplementy.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

TOKJO A... PARYŻ

PRZYTOCZONY tu niedawno, jako wzór i przykład niedościgły, japoński rekord patrjotyzmu i ofiarności dla dobra ojczyzny („żywe torpedy") wywołał, jak na nasze stosunki (letarg i apatja ogółu), jednak dość duży sympatyczny rezonans, szczególnie wśród młodzieży. Świadczyłyby o tem listy i telefony.

Nie od rzeczy byłoby zatem zwrócić teraz uwagę na inny obyczaj japoński, równie swoisty i przedziwny, nigdzie na kuli ziemskiej nie spotykany. Mamy tu na myśli ustosunkowanie się psychiczno - moralne Japończyków do tak zwanych „atentatów", czyli zamachów na wybitne osobistości polityczne. Nasuwa się to pod pióro szczególnie teraz, po niedawnym zamachu na premjera rumuńskiego.

Od listopada wróciła w Bukareszcie do wpływu awangarda Shylockracji, przepojona i przeżarta (bo zarażona) semicką nienawiścią do chrześcijaństwa, do duchowieństwa i do ludzi wierzących. Aby ugruntować swój wpływ, klika masońska przedewszystkiem nawiązała kontakt przyjazny z *madame* Pompadour (Magda Lupescu), zapewniła sobie protekcję pewnych potentatów dworskich, pałacowych, a potem zaraz rozpoczęła zuchwałe prześladowanie wszystkich młodzieżowych organizacyj patrjotycznych i chrześcijańskich a więc *„Liga Cristina"*, a więc *„Guardia de fer"* (zielone koszule), a więc żółtych koszul generała Averescu i ludowców poety Gogi. Do wyborów ich nie dopuszczono, związki porozwiązywano i cała furja masonerji zwróciła się przeciw opozycyjnej, stadjującej młodzieży inteligenckiej, za którą stało moralnie 60% społeczeństwa. Zacierał ręce z satysfakcji djabolicznej szef Shylockracji bukareszteńskiej, miljoner Michelson i aplaudowała ta grupa kliki dworskiej, która podpierała Magdę Lupescu, „Esterkę", znienawidzoną przez całą młodzież narodową i chrześcijańską. Najnikczemniejszy organ S c h y l o c k r a c j i *mittel*-europejskiej, wiedeńska s o c j a l i s t y c z n a *„Arbeiterzeitung"* tak wtedy pisała o tych sprawach, a za nią powtórzył jeden z dzisiaj k i l k u n a s t u pansemickich tygodników warszawskich:

„Znaleźli się już podobno politycy, którzy wysanęli myśl doprowadzenia do porozumienia między Karolem a faszystami rumuńskimi. Wszelkie próby spełzły na niczem, a to g ł ó w n i e z p o w o d u p r z y j a c i ó ł k i k r ó l a, p a n i L u p e s c u, k t ó r a m a w i e l k i w p ł y w n a p o l i t y k ę r u m u ń s k ą. L u p e s c u j e s t, j a k w i a d o m o, ż y d ó w k ą".

„Żelazna gwardja", to jest awangarda narodowców i chrześcijan postawiła jako *ultimatum* (przed przejściem do *„l'action directe"*) wypędzenie Magdy Pompadour z kraju i nałożenie hamulca na rozpasanie i korupcję ośmiu kroć semitów rumuńskich. Postulatu tego nietylko nie wypełniono, ale rozpoczęto ostry kurs wobec młodzieży, zamykając uniwersytety, techniki i szkoły handlowe. Nawet warszawski ultraradykalny „Kurjer Poranny" (balastem żydów i żyzisków obarczony) tak usprawiedliwiał chrześcijan rumuńskich (*Guardia de fer*) za ich ostatnie poczynania grozą sytuacji beznadziejnej podyktowane:

„Można tak czy inaczej tłumaczyć powstanie rozległej organizacji, jaką stała się „Żelazna Gwardja". Niepodobna jednak nie uznać, że powstaniu jej sprzyjały w pierwszym rzędzie nieznośne warunki, w które zostało wtłoczone życie kraju. Poza hasłami zoologicznego antysemityzmu, odziedziczonego częściowo po besarabskich działaczach z pod znaku carskiej, czarnosecinnej organizacji „Archanioła Michała", podsycanego bez wielkiego wysiłku przez hitleryzm, poza faszystowskiemi postulatami, — kto wie, czy na dnie „Żelaznej Gwardji", złożonej z młodzieży akademickiej i młodego oficerstwa, nie tkwił usprawiedliwiony bunt przeciwko niemoralności, która rozparła się w życiu całego kraju".

Prędzej czy później musiało to skończyć się katastroficznie. Ofiarą konfliktu padł sympatyczny osobiście, Polsce szczerze przyjazny mąż stanu. Konflikt między dworem a narodem jeszcze się zaostrzył. Wiedeńska „Arbejterka" reweluje o tem jak następuje:

„Doszło do tego, że otoczenie Karola radziło mu, by nie brał udziału w pogrzebie premjera. Groziło, że „Żelazna Gwardja" dokona zamachu na króla. Sytuację uratowała dyplomatyczna choroba. Komunikat, wydany w ostatniej chwili przez kancelarję cywilną króla, podał do publicznej wiadomości, że król nie weźmie udziału w pogrzebie z powodu przeziębienia".

Obecnie, w konsekwencji zaszłych wypadków, nastąpiły tam jednak duże zmiany. Magda Lupescu, jak donosi prasa angielska, została raz na zawsze wyrzucona z kraju i odstawiona na deportację do Anglji. Tak ona, jak i cała familja obłowiła się dostatecznie. Młodzieżą uniwersytecką (z głodu ginącą) jednak jakoś zaopiekował się rząd. Co będzie z zamachowcami, dowiemy się, oraz jak do nich odnoszą się sfery miarodajne i sfery prasy liberalistycznej, bukareszteńskie parszywce, *Schoengest*'y i wassercukry.

W Japonji te sprawy i te konflikty regulowane są inaczej.

Niedawno pisał o tem O. Gerard Piotrowski. Opozycjonista - bohater zjawia się na progu domu czy w ogrodzie ministra czy dygnitarza (któremu zarzuca złą politykę) i wygłasza w ogrodzie pierwsze upomnienie albo ostrzeżenie. Gdy to nie pomaga, zamachowiec dokonuje zamachu, ale często na samym sobie. Na znak protestu. znalazłszy się na werandzie ministra, poddaje się znanemu *„harakiri"*. Tak protestowano przeciw zbyt ugodowemu (wobec Chin komunistycznych) premjerowi Tanace.

W innym wypadku opozycjonista dokonuje zamachu a potem sam się karze śmiercią. Ongiś, bardzo dawno, tak ukarało siebie za spisek i mord słynnych 47 „roninów".

Kiedy w r. 1930 porucznik Nakamura dokonał zamachu na premjera Hamaguszi, sam potem zgłosił się do władz, prosząc o skazanie go na śmierć, „ponieważ wywołał niepokój w sercu naszego cesarza". Równocześnie wszyscy jego koledzy, kadeci z Akademji wojskowej wyrazili swoją solidarność ze spiskowcami, oświadczając w publicznym manifeście:

„Cel, do którego dążyli, nie był ich tylko celem. Jest to również nasz cel i podstawa n a s z e j p o l i t y k i n a r o d o w e j, k t ó r a j e s t w y ż s z ą o d p o l i t y k i r z ą d u, i d ą c e j r ę k a w r ę k ę z e g o i z m e m p l u t o k r a c j i i k o r u p c j ą k l a s u p r z y w i l e j o w a n y c h. Duch, który ożywia oskarżonych, nie różni się niczem od ożywiającego nas ducha. Nie przyłączymy się bynajmniej do tych, którzy proszą sędziów o łagodny wymiar kary, ponieważ rozumiemy, że sprawa ta podlega świętym decyzjom sprawiedliwości. Najbardziej chodzi nam o to, aby umarli jako patrjoci. Niechaj ich duch pozostanie w nas, gdy opuści śmiertelne ich ciała!"

Jeżeli to już jest piękne, to jednak jeszcze wznioślejsze jest stanowisko markiza Okumy, znanego dyplomaty japońskiego, na którego też dokonano zamachu.

W rok po egzekucji, spełnionej na zamachowcu, markiz Okuma złożył kwiaty na jego grobie i wypowiedział mowę ku czci rozstrzelanego:

„Jego czyn był dowodem najwyższego patrjotyzmu. To był nadczłowiek!"...

Podporucznik Kogo natomiast w świadczeniach swych przed sądem na rozprawie (zabójstwo ministra Tanaka) mówił, co następuje:

„Zdaję sobie sprawę, że oficer marynarki w mundurze nie powinien działać bez rozkazu Jego Cesarskiej Mości. Popełniłem wielkie przestępstwo, że nie zdjąłem munduru przed dokonaniem zamachu".

Tacy to są poddani J. Cesarskiej Mości... na... Dalekim Wschodzie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Legjon Zasłużonych pomysłu p. Cara ma być Elitą, nie może więc być liczny. Dlatego wszelkie usiłowania zdobycia tytułu zasługi po zamknięciu listy zasłużonych surowo będą karane.

*

Przed wojną największą zasługą był udział w walce z caratem; obecnie zasługą będzie uległość wobec Cara.

*

Pan Car stanie na czele kombatantów na polu współzawodnictwa o zasługę, tak właśnie jak p. Górecki w Fidacu. Śmieszna rzecz, że obaj walczyli nie po tej stronie, której laurem zdobią sobie głowę.

*

Pytano p. Cara w klubie B.B.:

— A coby było, gdyby kto przedstawił do Legjonu Zasłużonych Romana Dmowskiego?

— Wolne żarty! Przecież ten ktoś musiałby wymienić jakąkolwiek zasługę.

*

— Czy w Polsce możliwą byłaby na taką skalę afera Stawiskiego?

— Aleksander by się znalazł, tylko takich sum bajońskich niema...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.